

74
WŁADYSŁAW ORKAN

N O W E L E



KRAKÓW
1933

NOWELE

WŁADYSŁAW ORKAN

D Z I E Ł A

POD REDAKCJĄ
STANISŁAWA PIGONIA

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS
1 9 3 3

WŁADYSŁAW ORKAN

N O W E L E

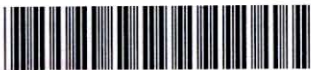
Z PRZEDMOWĄ
KAZIMIERZA TETMAJERA

Komputer

K R A K Ó W
1 9 3 3



NR.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku

FUW0012936



98745

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

Z KSIĘGO

K-41/79/98745

Przywiozłem do Warszawy prace literackie p. Władysława Orkana (pseudonim), a los ich interesuje mnie z dwóch powodów: ponieważ wydaje mi się, że p. Orkan ma duży talent, i ponieważ urodził się niedaleko moich stron rodzinnych, a to zawsze wiąże... Pragnąłbym mu ułatwić wejście na rynek literacki warszawski, po prostu zapoznać go z piszącymi i z publicznością.

Orkan jest synem włościan, górali z okolic Limanowy, zwanych u nas na Podhalu i w Nowotarszczyźnie zagórzanami albo kliszczakami i kliszczakami; chodził do gimnazjum w Krakowie i obecnie złożył maturę.

Zdaje mi się, że on, wraz z p. Stopką Nazimkiem z Zakopanego, prawnikiem, autorem świeżo wyszłej, bardzo ciekawej książki o Sabale, i z p. Wojciechem Brzegą, także z Zakopanego, rzeźbiarzem, uczniem krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, a nagrodzonym niedawno na konkursie w Warszawie, stanowią początek artystycznego ruchu, który się między inteligencją góralską budzi. Kto wie, czy zczasem, wykształceni chłopci gó-

ralsey nie wytworzą takiej swojej odrębnej i samostnej szkoły, jaką niegdyś wytworzyła szlachta ukraińska; szkoła ta ma wszelkie warunki powstania w niedalekiej przyszłości, a miałyby tę wyższość nad ukraińską, że nie ograniczałyby się wyłącznie do literatury.

Górale mają swoją starą rodzimą tradycję, ale dopiero teraz poczynają się stykać z kulturą; zdolności ich zupełnie świeże, zupełnie młode; zbyt mało są doświadczone, abyśmy o nich stanowczo wyrokować mogli; wydaje mi się jednak, że są wszechstronne i duże. Jest bardzo prawdopodobnem, że wyjdą stamtąd nawskróś oryginalni pisarze, muzycy, rzeźbiarze i malarze, i że stworzą sobie w sztuce miejsce tak odrębne, jak ich ziemia odrębną jest od reszty kraju.

Ci, których wymieniłem, to pierwsi pionierzy, pierwsze pokolenie inteligencji góralskiej, która o sobie słyseć daje; być może, że to heroldowie całego zastępu.

Co do prac Orkana, który pisze także wierszem i którego poezje rozpoczną się niedługo drukować, to trzeba pamiętać, że ma on lat dwadzieścia i że to są pierwsze kroki.

Warszawa 1897.

Kazimierz Tetmajer.

PRZYGRYWKA

*Ukochałem lud biedny nad miarę —
Bom się jego pieśnią wykotysał...
Ukochałem zwyczaję i gwarę —
Które dziecko z piersi jegom wyszał.*

*Co mię wiąże z ludem jeszcze szczerzej,
Powiem — choć mi wielu wiary nie da:
To niedola, która w nim się szerzy —
Oto wspólna towarzyszka — bieda...*

*Może ona zaćmiła mi oko,
I przesłania serc biedaczych głębię —
Że nie mogę patrzeć tam... wysoko —
I od ludzi sam gnębiony — gnębienie...*

*Może ona zaćmiła mi słonko,
I na nerwach zwinęła promienie,
Że, gdy chodzę serc ludowych łąką,
Poza światłem wszędy widzę — cienie...*

*Poza światłem cienie widzę zawdy,
Lzy mię ciągną więcej, niżli blaski...
Lecz do ludu nie schodzę, jak z łaski —
Ja w nim samym szukam tylko — prawdy.*

Wł. Orkan.

PRZEZNACZENIE

- Niech będzie pochwalony!
- Na wieki wieków... E, skądże ta?
- Z Hameryki.
- Prościusieńko?
- Tak jest.
- No wicie, wicie... Toście pewnie tutejsi?
- Tutejszy, z Poręby...
- E, od kogo?
- Od Kopańdy.
- Wsyscy święcił!... Toście wy Morcin? Nigdybych was nie poznała, takeście się odmienili. No wicie, wicie...
- Ja was poznał, tytkom czekał, rychło mnie zaczepicie...
- To wy z koleje prosto?...
- Tak jest, prościusieńko... Moiściewy, co też tu słyhać? Godojcie, co wiecie. Z listów nie można wymiarkować...
- Eh, moi kochani, skoda i godać!... Nie mielście po co przyjezdzać.

— Zona?... — zapytał drżąc Marcin.

— Eh, wiecie pewnie z listów, co wam ludzie przesyłali... — odpowiedziała kobieta.

— Słyszałem, słyszałem, ale mi się nie chce wierzyć... Pieniądzy-m ij posyłał... — mówił zamysłony.

— To tyż, coście nogorzy zrobili. Było nie posyłać! Niechby się była wymorzyła...

— Ej, co gadacie!...

— Godom prowadę. Ona wase zapracowane grajczary z tym wyrwipółciem przeflondrzyła, a i długów jesce do tego przyrosło...

— Mówcież wszystko dokumentnie, co wiecie!... — szepnął, zrzucił tłumok i oparł się o poręcz. Kobieta siadła przy nim.

— Kieście odjechali — poczęła — sło jakiś cas dość dobrze; ale potem przyjęła na służbę Wojtka od Chyby, tego, co to downi do nie loto!... No i zaczęły się pijatyki, co wiecór tońce, a bezecństwa, niech ręka bosko broni!... Te pieniądze, coście przysłali, baba wasa zydowi w gardło wraziła!...

— O dlo Boga!... — przerwał Marcin.

— Słuchojcie ino dalij... Przyjechał tu Sobek od Kozyry, ten wicie, co do Pesztu pojechał na zorobek... Przywióz niemało papierków... Wasa jak pocuła u niego pieniądze, dalize z nim pić... Wojtek zawziął sie na niego, przysło do bitki... Sobek pokalicól mocno Wojtka, tak ze ten i rusyc sie ni moze. Z tego do tego sło coraz gorzy.

Wasa nie pilnowała roboty, w polu nieobrobione, syćko pustkom leżało, a dzieciiska obsarpane chodziły...

— Rany Boskie! — lamentował zrozpaczony Marcin.

— Zeby to na tem koniec!... — ciągnęła dalej kobieta. — Przyšli dziandary i zabrali ze sobom Sobka...

— Za co?

— Za co? bo pieniądze, które przywiózł, nie były jego, ino ukradzione... Co prawda, to nie on wzion te pieniądze. Jeden z tych, co we fabryce robili, ukrodl je panu. Sobek wypatrzoł, ka ten pieniądze schowół, wzion je i przyjechał do wsi. Tamtego chycili, on po pieniądze do schowku, a tu pieniędzy ni ma. Bili go okropnie Madziary... Sobek wiedziół o tem, a nie oddoł. Tako wom psio noga uparto!... A tu sie juz zaceni zwiadować, ze Sobek mo pieniądze wielgie, no i tak jakosi bokem wychledali... Kiedy dziandary przysły, to juz ino połowę miół z tego, a i to oddoł wasy babie... Ho! wasa mądro! Zaroźnicki zabrała dzieciiska i pojechała kolejom za Kraków.

— Wszyscy święci! i nima jej?! — wykrzyknął Marcin, chwytając się za głowę.

— A nima... Wicie, do cego to dosło. Kiebyście byli do Hameryki nie jeździli, jak wam ludzie radzili, tobyście przecie wyzyli na tym gruncie. Mieliście i młyn, i cosi kasi, a teraz co?... Baba

uciekła z dzieciskami, na polu nima nic... Jesce wos z chałupy dłużnicy wyznają... Tak, tak, kumotrze!... — dopowiedziała kobieta. — No, muse iść, bobych sie na termin spóźniła... Momy proces z tym sąsiadem...

Marcin już nie słuchał... Nawet nie pożegnał się z „kumoską“, ale wziął tłumok na plecy i szybkim krokiem puścił się do wsi... Zdaleka zobaczył już swoją chałupę. Przystanął nagle, oczy przysłonił ręką i wpatrzył się w nią... Pusta była, nikogo przed progiem... Bez sił prawie, oparł się o poręcz, a lzy „cióreckiem“ leciały na ziemię...

— Mój Boże! — myślał — jak ja sie cieszył, kiedym jechał bez morze, ze przecię użrę swoich, dzieciska zdaleka zmiarkują, wylecą naprzeciw, a tu nikogo... nikogo!... — i urywane słowa przytłumiło bolesne łkanie.

— Oj Marcys, Marcys!... ja cie o mało na rękach nie nosił, robić nie pozwołał, a tyś mnie tak odleciała... Oj Marcys, Marcys!...

Wyplakał się jak dziecko, wstał prawie siłą i poszedł dalej, zataczając się jak pijany...

Ranek był piękny... Ludzie wylazili z chałup na pola to z sierpem, to z kosą; widzieli idącego. Parę kobiet nawet „Boga pochwoliło“, on odpowiedział machinalnie i szedł dalej. Niktby go i tak nie poznał!... Zmienił się, wąsy zapuścił; a z tłumokiem na plecach wyglądał raczej na żebraka, niż na tutejszego gospodarza.

— A ot pijane dziadzisko włóczy się, lańdzi, by mieć na wódkę — dolatywały go słowa idących.

Serce jeszcze bardziej mu się ścisnęło... On witany jak dziad we swojej wsi; on, młynarz dawny...

— Oj Marcys! Marcys!... — szeptał przez zaciśnięte bólem zęby.

Przypomniwał sobie, jak on to, parę lat temu, wyjeżdżał z chaty z nadzieją, że niedługo powróci z pełną „kiesnią“ talarków... Pospłaca długi, dokupi pola i „bedzie ućciwym gazdą“. Tak okropnie „charował“, a zawsze było brak. Na przednowek musiał kupować... Więc myślał sobie, że przecię raz pozbędzie się biedy i „dzieciskom ostawi tyle, żeby się po jego śmierci nie potrzebowały gryść między sobą“...

Prosił tyle Marcysi, żeby o dzieci dbała, a pilnowała chałupy... Ona mu przysięgała, byle go ino wyprawić... Z taką nadzieją jechał w świat, z Panem Bogiem w sercu... W Hameryce charować musiał ciężko; czasem i głodem przymierał, byle ino do chałupy posłać... „Tróbował sie, jak se ta Marcysia da radę“. Kilka razy po pięćdziesiąt papierków przesłał. Prosił w liście o jakie nowiny, a tu jeno tyle, co mu ludziska donosili, że Marcysia pije „z drugimi“, a pole odłogiem leży... Nie wierzył ludziom, modlił się i Marcysi ufał... „Zencnąć mu się chciało, a charował, byle ino do cha-

lupy!“ A Marcysia „ani słówecka“ mu nie napisała. Tęsknota parła go do swoich, chciał choć „zażreć“, by odetchnąć przy Marcysi choć z miesiąć, ze dwa... i wyjechał.

— Oj Marcys, Marcys!... — zakończył wirujące myśli.

Wchodzi prawie ścieżyną na swój grunt... Sciśnięło mu się serce, gdy patrzył na puste tłoki... Dookoła faluje złociste zboże, łąka na jego gruncie nic... Tak goło, jak po zbiórkach.

Zaszedł pod swoją chałupę. Bezsilny prawie upadł na próg i oparł się plecami o drzwi... Z głową, zwieszoną na piersi, wyglądał jak żebrak, kiedy czeka, „rychło z pola gaździna wróci“. Myśleć nawet nie mógł; podniósł głowę po chwili i obejrzał się po „osiedlu...“¹. Wszędzie pusto, obora otwarta, ani „patycka“ w siągach!... Pewnie sąsiedzi rozkradli.

Lzy spływały mu do serca — i tak mu było ciężko, jakby sumienie kamieniem przywalił... Siedział tak nieruchomie, a jęk ciężki, jakby „z podsienia“ wydobyl mu się z piersi...

Wiem, jak na odpowiedź tej niemej bez słów rozpaczy, zahuczalo od stodoły, kolo której wiodła do wsi dróżyna:

— A kto tam tak stęka?...

Jęk jeszcze boleśniejszy był całą odpowiedzią.

¹ Osiedle — podwórze; miejsce wśród zabudowań gospodarskich.

— E, kis to djabli tak jęca! — rozległo się Marcinowi nad uszami... Podniósł głowę i spojrzal do góry.

Przed nim stał barczysty chłop, odziany przyzwoicie, o twarzy czerwonej... Znać, że lubił „pociągnąć“. I teraz był widać „zakropiony“, pochylał się bowiem na bok, jak smerek wiatrem kołysany, a wpatrywał w siedzącego Marcina.

— A, to wy, wójcie... — szepnął młynarz.

— Zgadliście, jo tutejsy nocelnik. A wy coście za jedni? — zagadnął wójt przepitym głosem.

— To mnie nie poznajecie?...

— A nie.

— Młynarz Marcin...

Wójt wpatrzył się bliżej.

— Raty Boskie!... E, skądże-ście wy sie tu teraz wzięli?

— Prosto z Hameryki...

Wójt wyciągnął rękę i uściśnęli się.

— No, prędzy-bych sie był pana starosty spodziewoł, jak wos tu użryć!... — mówił wójt. — Kieście doszli?...

— Dziś...

Wójt wpatrywał się w Marcina, który siedział zaszepiony i przygnębiony rozpaczonymi myślami, co mu wszystkie zamąciły pojęcia.

— Wiecie co? — zaczął wójt — co tu macie siedzieć? Stało sie, co nie miało stać... Wy i tak nic nie poradzicie, choćbyście tu cały rok prze-

siedzieli. Baby krzykiem nie sprowadzicie, ani tyz nie naprawicie szkody, choćbyście korzec łoż wytocyli!... Ot, lepi chodźcie do mnie, ogodomy całą tę sprawę i jakosi będzie inaczy... No, wstańcież!... — pociągnął go za rękaw.

Młynarz podniósł się powoli i ruszył machinalnie za wójtem... Ludzie się „dziwowali, z kim to pon nocelnik idą“, a „pon nocelnik“ z młynarzem szedł prosto ku chałupie, różniącej się od innych tem, że już zdaleka widniał na niej napis, złożony z koszlawych liter: „Urząd gminny w Porębie“, a obok niego inny: „Wyszynk wina“.

— Bo może nie wiecie — objaśniał wójt młynarza — ze-ch sprowadził wino, zeby ludziska w niedzielę nie próżnowali i zeby im jakosi uprzyjemnić ten mizerny żywot. Ho! bo tu bieda! Bieda kroćsetno! Nima nawet o cem gościć.

Skończył wójt i jeszcze do siebie mruknął parę razy: „bieda“.

Młynarz nie słuchał go prawie, myśląc o pu-
stych zagonach i o „swoi Marcysi“.

Stanęli wreszcie przed domem „pana nocelnika“. Wójt popchnął drzwi. W sieni uderzył ich już silny gwar, wydobywający się z zadymionej izby... Wójt z miną „nocelnika“ przekroczył próg, za nim z jakimś lękiem i niepewnością wsunął się młynarz.

— Ho! pon nocelnik!... — hukło od stołu, za którym rzędem na ławie siedzieli radni.

— Wase zdrowie, wójcie!... — podjął połowy,¹ przelewając wino w lampkę o objętości małej szklanki piwa. Ręka mu się trzęsła — nie ze starości pono — więc lejąc w szklanke, dwa razy tyle wylał na stół, skąd strumieniami spadało na wilgotną, gliniastą podłogę.

— Nie rozlewojcież, kumie, daru boskiego... — wrzasnął wójt, a zwracając się do stojącego przy drzwiach młynarza, dodał:

— W wase ręce Morcimiel!... Ino sie nie tróbu-
cie!... Jakosi będzie.

Chłopi dopiero teraz spostrzegli przez gęsty dym z fajek, wypełniający połowę izby, stojącego pode
drzwiami.

— Je, ktoz to? — odezwało się paru.

— Swojego nie poznajecie?... — odpowiedział młynarz i podszedł ku siedzącym. Połowy przychylił się z za stołu i spojrział bliżej.

— Młynorz!... Morcin!... Na moją dusyckę!...

Podwójci, chudy czleczyzna, zerwał się z ławy.

— Kumotrze! toście to wy?... Na świcie!... Kto-
by was... — huk przewróconego stołu i brzęk szkła przerwał mu mowę. — Je, coż ta? — spytał, odwracając się.

— Zjedłście kopę djabłów!! — rozsierdził się wójt... — Dor boski rozlewać po ziemi! — schylił się, podnosząc stłuczone szkło.

¹ Połowy t. j. urzędnik gminny, który sędzi drobne szkody połow.

— Na moją dusyckę!... to nie jo!... — krzyknął polowy.

— Ktoz, jak nie wy?

— A ino podwójci serdockiem zawadziół!

— E, coz mie „ty“ nadwerezos?! — wrzasnął podwójci.

I byłoby do bitki przyszło, gdyby nie nowy gość, który nagle stanąwszy na środku izby, zagadnął, klójących się biblijnemi słowy.

— Bracia w Chrystusie! Przestańcie lżyć się słowami, albowiem powiedziano jest... — Tu zatrzymał się, przypominając sobie zapewne, co jest powiedziano.

— A! poń pisorz!... — przerwano mu zamyśle-
nie i ciszę oczekiwania dalszych słów jego.

→ Aleśmy się wos nacekali!... No, bo jakze bez wos radzić wedle spraw gminnych!...

Stół już stał na swoim miejscu, a na nim litrówka i szklanka, większa jeszcze niż przedtem. Niejeden z radnych, spoglądając na objętość szklanki i w myślach wypełniając ją już treścią butelki, pomyślał: „Niema złego, coby na dobre nie wysło“. Odwrotne znaczenie tego najpospolitszego przysłowia nikomu na myśl nie przyjdzie.

Posadzono pana pisarza na ławie za stołem, wójt usiadł na stolku — i rada otwarta...

W tym zamęcie zapomniano o młynarzu, który stał na boku i gdyby nie rozpaczne myśli, jakie go nie opuściły, zapewneby się zastanowił, cze-

mu, gdy wójt pił do niego, nie nalął potem jemu, ale kolejka idzie dalej poza stołem.

— „A no, moze zmienili downy zwycjoj!“ — pomyślałby...

Kolejka tymczasem przeszła, jedna i druga... Czas leciał szybko. Słonko padało prościutko, znacząc południe białą wskazówką promieni.

Polowy wpatrzył się w prózną butelkę i mdło mu się zrobiło na sercu... „Na moją dusyckę!“ powtarzał tylko coraz częściej, a w myślach kończył: „zeby ją tyz to miał kto napelnić...“ Święty Kleofas, do którego miał dziwną słabość, zwłaszcza wówczas, gdy po każdej takiej „radzie“ wracał do chałupy, ulitował się wreszcie nad jego niemą prośbą, bo natchnął młynarza myślą, której zrealizowanie tyle miało dla niego ważnych następstw w przyszłości...

Widząc bowiem prózną butelkę, podszedł i szepnął wójtowi: „Proszę o dwa litry!“

Wójcina „w mig“ się nawinęła i dwa litry stały na stole...

— Ho! kumotr płaci! Musiała wom Hameryka posłużyć! — odezwał się jeden z radnych.

— Ino wos baba wywiedła na dziadkowo...¹ Nie trza to było wziąć na nią kija, a okrzesać, kie sie ij zachciewało wase jazdy!...

¹ Wywieść na dziadkowo — wyprowadzić w pole; frazes ten ma swoją historję, o której nadmienimy później.

— Eh, co tam gadać!... — przerwał młynarz, a chcąc mowę odwrócić z bolesnej treści, nalał szklanke wina.

— W wasze ręce, wójcie!... — wychylił, nalał... Kolejka szła szybko. Powstał jeszcze większy gwar; każdy mówił, a mało kto słuchał. Słonko chyliło się na zachód, znikając powoli niepostrzeżenie z dymnych szyb...

Młynarzem byli zajęci wszyscy.

— No, przecie on funduje, musi mieć dudki...

— Ba, cożby ni miol! — mówili na ucho.

Jeden tylko pisarz siedział milcząco. Podparł głowę nad stołem: każdą szklanke wina, gdy mu do rąk przyszła, najpierw obrócił parę razy, przejrzał się w niej, na ostatku wpatrzył się w nią, jakby tam wątku jakiejś myśli lub rozwiązania ważnej kwestji szukał, nareszcie po namyśle szybko przechylił i podał dalej...

Tak robił za każdą razą, systematycznie.

Wypróżnili tak kolejno flaszkę jedną i drugą. Słońce już zapadało, a o radzie ani „slychu“. Gwar zato coraz większy podnosił się w dymnej izbie; zasuszone twarze radnych nabierały barw i kolorów nienaturalnych. Młynarz nawet potrafił „węgierskim ukropem“ zalać smutek duszy, bo już z wesołą miną zwrócił się do polowego, opowiadając mu jakiś ciekawy „przyzodek“ z podróży „bez morze“... Polowy chichotał cienko i: „Na moją dusyckę!“ wymawiał coraz krócej.

Wtem powstał wójt. Radni się uciszeli, sądząc, że „radę“ rozpocznie; a on, nachylając się ku młynarzowi, zagadnął go chrapliwie:

— Hej, Morcinie! a kie wy mi oddocie moje dwieście papierków?... Teraz chyba musicie mieć!... co?...

Młynarz się zachmurzył. Pytanie to nagle zwróciło go do pierwotnych myśli.

— Przywiózech ino pięćdziesiąt reńskich. Musicie, wójcie, zacekać, jaze sprowadzę Marcysię...

— Ho! ho! ani se myślij o tem! Ona ci wróci?... Myślisz, ze mie zarwies!... Tybys cichutko grunt przedol, uciek za babom i sukaj wiatru po świecie!... Jo musę mieć piniądze i basta.

— Coz, kie nimom.

— To sie postarojcie!...

— A jakoz?

Wójt nie odpowiedział. Siadł i podparł głowę. Wtem, jakby mu nowa myśl wpadła, podniósł się, wychylił nalaną szklanke.

— Wiecie co, kumie?... sprzedejcie grunt.

Marcin się wzdrygnął.

— Nigdy!...

— No, jakoś to bedzie. Juz my sie nie obe-drzemy.

Nalał mu wina, przypił do niego. Kazał podać nowy litr. Kolejka przeszła. Wójt młynarzowi przylewał, a patrzył się z pod oka. Radni pozierali po sobie.

- Wójt cosi rozwozo!... — szeptali do siebie.
— No — podjął „nocelnik“ — sprzedacie?
— Grunt?
— Echę!
— A ktozby kupił?...

Wójtowi się oczy zaświeciły. Czuł w rękach złapanego ptaszka. Młynarz zaś prawie pijany patrzył bezmyślnie na niego. Parę razy starał się gwałtem myśli zebrać; brwi ściągał, oczy wybaluszał, ale wypite wino mgłą mu je przesłaniało tak, że nie mógł dojrzec chytrego uśmiechu „nocelnika“.

- Jo kupię... — ciągnął wójt.
— Wielu docie?...

Wójt wyminął odpowiedź.

— No, dyć my się zgodzimy. Wiecie, że pola nieobsiewane, leżą odłogiem... Puste tloki i nie więcy...

- Zawse jest tego niemało!... — bronił Marcin.
— To nie wiecie, że wasa pół sprzedała?... — zagadnął wójt z lisim uśmiechem.

— Ni moze być! — skoczył młynarz.
— No, nie prawda?... — zwrócił się wójt do podwójcego.
— Na świecie!... prawda!... — odwrzasnął tenże.
— Na moją dusyckę!... — potwierdził polowy.
Marcin opadł ciężko na ławę... Wychylił pełną szklanę. Był już całkiem pijany.

— Sprzedacie resztę?... — podjął na nowo wójt. —
Dom wom trzysta śryblem...

Marcin potrząsnął głową.

— No, niech stracę!... Wiecie, Morcinie ze was lubię... Zreštom chałupę zostawię do wasze wóle... Nie ukrzywdzę was. Kiedy tedy możecie wrócić, to was przyjmę... Daję trzysta pięćdziesiąt... Nie chcecie?... No, możecie trzysta siedmdziesiąt na miejscu i litkup!... Chałupa wasa. Coz więcy chcecie?... Dwieście się potrąci za dług, dwadzieścia za procent; wyplacę wom na miejscu stówkę i pięćdziesiąt papierków! Kumotrowie poświadczą...

— Izali powiedziałbym... — począł pisarz, podnosząc poważnie głowę.

— Na świecie!... — przerwał podwójce.

— Na moją dusyckę!... — dokończył polowy.

Wójt wstał, podszedł do młynarza.

— Kumotrze! Nie bądźciez twardzi!... jak wom żyć...

Uściskał go, ucałował.

Młynarz rozbrojony serdecznością, zgodził się, tembardziej, że naprózno by gonił za myślami, by oponować.

— Odrazu sie kontrakt spise. Pisorz na miejscu... — rzekł wójt; zupełnie wytrzeźwiał z radości.

Marcin kiwnął głową.

Pisarz już wyciągnął arkusz ze stolika, rozło-

żył na stole i począł z powagą gładzić paznokciem pióro... Wójt kazał lampę zaświecić; na stole postawił nową butelkę. Szła kolejka już coś dziesiąta.

— Na litkup!... — krzyknął wójt.

— Na litkup! — powtórzył za nim młynarz.

— No, piście kontrak... — rzekł wójt, przybliżył lampę.

Pisarz rozpoczął pisanie.

Wszyscy siedzieli milcząco, by nie przerywać myśli panu pisarzowi... Gdy skończył, odchrząknął parę razy, przejrzał pismo i dodał parę opuszczonych ogonków.

— Żali mam przeczytać?... — zapytał.

— A juści! — odezwali się chórem radni.

— Cytojcie! — kazał wójt.

Pisarz wziął stojącą przed nim szklanę, przechylił, wreszcie zaczął:

„Kontrakt czyli pisemna ugoda co do sprzedaży i kupna gruntu czyli parceli, zawarta na miejscu pomiędzy Marcinem Janią czyli“...

— Zjedliście kopę djablów!... — krzyknął wójt. — Przecie się młynorz pise Morcin Cichorcyk, a nie Jania!...

— Powiedziano jest, że Jania...

— To przezwisko!... nieprawda?... — zwrócił się do młynarza.

Ten jednak pochylony chrapał głośno; głowa mu się chwiała jak przyprawiona.

— Na moją dusyckę!... — potwierdził za niego polowy.

— Żali mam poprawić?... — spytał pisarz.

— Żodne poprawiano!... — Krzyknął „nocelnik“. — Urzędowy dokument nie śmie być zasmarowany!... Przepisać trza i basta. Hej! Morcinie! — zwrócił się do młynarza — nie śpijciez, bo tu idzie o wasą rzec!...

— O jaką rzec? co... — bełkotał nieprzytomnie zbudzony młynarz.

— No, co do tego kupna!...

— Ehę!... wiem... co do kupna...

— Mom wom dać sto pięćdziesiąt papierków!...

— Ehę!... sto pięćdziesiąt...

— Kontrak spisany.

— Dobrze... dobrze...

Wójt otworzył skórzaną, pomarszczoną pugilares i począł liczyć dziesiątkami: „Dziesięć... Dwa-dziesiąć“...

— Nadstowciez rękę!...

Młynarz wyciągnął rękę!...

— Trzydzieści... słyrdzieści... Biorę wos tu obecnych za świadków... Słysycie?!... — krzyknął głośnie, budząc paru chrapiących radnych.

— Słysimy!...

— Rozumiecie, na co?...

— Rozumiemy... wedle kupna!...

— Na świecie!... — dodał podwójci.

— Na moją dusyckę!... — dokończył polowy.

Wójt odliczył sto pięćdziesiąt.

— Schowajcież!...

Młynarz włożył zwitek do zanadru i śpiący przechylił się na krawędź łóżka.

Pisarz tymczasem przepisał kontrakt, przeczytał uroczyście.

— Podpiszcie mnie i świadków — odezwał się wójt.

Pisarz wystylizował podpisy. Paru radnych położyło koszlawe krzyżyki przed swoim nazwiskiem.

— A kaz tu młynorz?... Edyc brakuje jego podpisu! — zauważył jeden z radnych.

— Na moją dusyckę, brakuje!... — dodał, przypatrując się, podwójci.

— Morcinie!... Spi, jak Poniezus po wieczerzy... Morcinie!... — ciągnął go podwójci za rękaw.

Młynarz się podniósł.

— Połóżcie krzyżyk!

— Gdzie?

— Tu...

Dali mu pióro. Zrobił dwie kreski. Pióro mu wypadło z ręki. Oparł się o stół i począł na nowo chrapać.

— Djabli by sie ta z nim dogodali!... Wójcie, dejcieno jesce flaseckę!...

Wójt podał litrówkę. Zbudzono śpiących do nowej kolejki.

Wójt tymczasem złożył kontrakt do szafki,

zamknął na kluczyk i usiadł przy stole. Zerknął jeszcze parę razy na śpiącego młynarza, uśmiechnął się i dwie lampki, jedna po drugiej, wychylił.

— Kupilech dobrze? co? — zagadnął radnych.

— He, pon nocynnik mo głowę! aniby som adukat lepi nie zrobiól! — domawiali pijani.

— Za zdrowie nocynnika!... — podniósł podwójci.

— Za zdrowie!...

Kolejka szła „pieronem“.

— Coś pon pisorz nie weseli!... — zauważył jeden z radnych.

Pisarz właśnie przezierał się w szklance, wychylił więc żywiej i podniósł się z ławy.

— Różne są — począł mówić — przypadłości... Człek nie wie, na co zejdzie... Sposobności albowiem ma wszelakie. Iżalibym powiedział, szanowni bracia, o którym z was, że nie jest wedle sumienia, jako ten, który ma czynić, co powiedziano jest w piśmie: „Człowiek pokusom podan jest w utrapienie. Kto będzie owoc złego pożywał, niechaj będzie przeklęty, a kto będzie pożywał owoc dobrego, niechaj mu będzie chwała! Amen“. — Żali wy rozumiecie, co jest powiedziano? Oto zły owoc powstaje w niezgodzie, a dobry owoc w zgodzie... A gdzież, szanowni bracia, może być zgoda, jak nie przy esencji dobrego owocu, o którym powiedziano jest w psal-

mie świętego Dawida: „Z winnicy mojej pić będziesz!“...

Tu przerwał i spojrział po radnych, albowiem mówiąc, oczy miał w sufit wzniesione. I ze zdziwieniem ujrzał śpiące, a oczy i uszy ich były zamknięte... Przejrzał wszystkie szklanki, butelki, pozlewał resztę wina, wysączył do dna tę „esencję dobrego owocu“ i pomyślał chwilę, co ma uczynić; zrobił, co mu rozum podyktował. Pościągał z ławy i ze „zyrdki“¹ wszystkie „płosce“ i serdaki, wyścielił na skrzyni i sam się na nich wygodnie ułożył...

— Żali mam powiedzieć... — zasnął.

Ciemne światło „okopconej“ lampy łączyło się z półcieniami i przedzierając się przez dym, wypełniający izbę, oświetlało matowo czerwone od pijaństwa twarze radnych. Leżało to wszystko jak bydło („nieprzymierzając“). Jeden wsparty łokciami na stole, drugi na krawędzi, trzeci walcząc długo z wąskością ławy, dał za wygraną i ułożył się wygodnie na ziemi, obok skrzyni... Ładny temat do bajki: „śpiący samorząd gminny“.

Czasem tylko z tej chrapliwej muzyki dysharmonijnej wyleciało wyraźniejsze słowo, z myśli, które w drgających jeszcze nerwach sen przejął... I tak się też one objawiały przez sen, jak brzmienia strun najbardziej naciągniętych, kiedy się

¹ „Zyrdka“ — cienka żerdź pod sufitem, służąca za wieszadło.

o instrument trąci... Nie dziw, że parę razy „Marcyś!“ z chrapaniem wydarło się młynarzowi; „kontrak!“ krzyknął wójt we śnie.

— „Na moją dusyckę!“... — kończył połowy przez sen, zapewne siłą przyzwyczajenia...

*

Ranek był we wsi... Słonko świeżym uśmiechem „obzierało“ się po szczytach gór i powoli, niedostrzeżenie skradało się promieniami do jarów i dolin, chcąc w najskrytszych zakątkach jestestwom przynieść światłem przebłysk tego szczęścia, którego pragną, za którym tęsknią, a nigdy całego osiąść nie mogą... Dziwna tęsknota za tem, czego niema... Jestestwa naszej ziemi dążą do życia jestestw innych światów, a tamte naodwrot ku nam zwracają tęskne oczy... Słonko zaś jest jakby pośrednikiem tych ziem, lawirujących nawzajem ku sobie... Do słońca ciągną wszystkie istności... Nie dziw, że nie mają całego szczęścia, gdyż ono musi dzielić światłem wszystkich... Gdyby na jedną tylko ziemię spadło całe światło-szczęście, ustalby był... Jednych spaliłyby promienie, drugich zamroziła noc.

Więc... ranek był we wsi. Ludzie wylazili z chałup, „obzierali się“ twarzą do słońca, dziękując mu za jasność, która im nadzieją uwieńczenia

prac, ładnych zbiorów... Kwiaty, drzewa jednakim, jak codzieln, rozkwitem witają słońko...

Jeden tylko człowiek nie obiera się na nie — na jasność. Wleczę się drogą ku zachodowi, twarz odwraca od słońka...

Napróżno ono promieniami szczypie go po szyi, przeszywa czerwonością uszy, chcąc w duszę zajrzeć, rozegnać ciemność... Napróżno!...

On, jakby wstydził się słońka, samego siebie, gniewem, czy bólem, przyciął wargi, a brwi schodzą się i rozchodzą od walczących ze sobą myśli...

Przystanął chwilkę, odwrócił głowę ku wsi, ku swojej chacie...

— Tam... nima nic!... — wyszeptał. — Ja, bydlę, upił się, sprzedał swoją ojcowiznę!... Chalupa sama... co mi po tem!... Grunt wściekli wzięli... Dziad wierutny!... O Najświętsza Panienko, ratuj!...

I z ostatnią pobożną myślą ostatnia łza spłynęła z powieki...

Patrzył długo ku chalupie, jakby chciał każde drzewo, płot, każdy drobiazg zabrać ze sobą w pamięci...

— Ano, stało się, co się miało stać... Tak mi przeznaczono, dziadem umrzeć!... — wstyd, gniew i boleść ścisnęły go za gardło.

— Psie życie!... Oj, Marcyś! Marcyś!... — Okropny wyrzut, cały żal mieścił się w tych dwu słowach.

Zwrócił się szybko i poszedł dalej drogą... na kolej.

.

„Krakau! — Kraków!“...

Wysypali się podróżni z wagonów... Każdy pchał się do drzwi, by oddać bilet i jak najprędzej powitać się ze znajomymi... Ztyłu szedł powoli i młynarz. Wyszedł i on za wszystkimi, oddał bilet, przeszedł, nie oglądając się, poczekalnię; wiedział, że go nikt nie czeka.

Zwrócił się prosto na most, ku warszawskiej rogatece... Bezmyślnie kroczył środkiem gościńca, machinalnie usuwając się jadącym dorożkom, i szedł prosto ku Prądnikowi...

Wyjeżdżał za Marcysią, nie wiedząc, gdzie jej szukać; w wagonie dopiero, gdy przyszedł do jakiej takiej równowagi, wyfilozofował sobie, o ile mógł, że Marcysia musi chyba znajdować się na Prądniku, u ciotki... Wiedział, że tam jej ciotka ma domek; nawet, parę lat temu, zaglądnął do niej, kiedy był ze żoną w Krakowie na odpuszcie...

Szedł więc ku Prądnikowi, wiedząc, że tam Marcysię zastanie...

Obok szeregu białych domków na Prądniku stał jeden, frontem do gościńca zwrócony. Różnił się chyba tem od innych, że był na czerwono pomalowany, które to malowidło gdzieniegdzie deszcz splukał, dostając się do brunatnej barwy

mur... Przed progiem kupa śmieci i dwie czarne kałuże świadczyły o dobrej woli gospodarza, czy też gospodyn.

Do tego to domku skierował kroki młynarz. Wszedł do sieni i stanął przy odchylnych drzwiach, zerkając przez szczelinę do wnętrza...

Sekundę rozjaśnił i zaraz schmurzył twarz; przy stole dojrzał Marcysię... Poznał ją od razu, choć siedziała podparta na łokciu i plecami zwrócona do niego. Obok niej dostrzegł kawalek „wąsiatej“ twarzy i rękę brudną, która przychyliła kieliszek do jej ust...

— Pijże, kie ci daję!... Jakbyś mi ty dała, to bym sie nie opiero!... — Młynarz słyszał wyraźnie chrapliwy głos przez podchylone drzwi.

Drgnął na te słowa, i szybko odsunawszy drzwi, stanął na progu.

— Niech będzie pochwalony!... — wybelkotal.

Nie odpowiedziano mu. Widać, tu inny zwyczaj. Natomiast wszystkie twarze zwróciły się ciekawie ku niemu. Stara kobieta, która dotąd była schylona nad rozłożonemi kartami, podniosła głowę, ściągnęła pomarszczoną twarz i, sądząc po lataniem odzieniu, że jakiś żebrak, już miała wyrzec: „z Panem Bogiem“, kiedy Marcysia poskoczyła ku niemu z krzykiem:

— Morcin!... e, kizcie tu djabli przynieśli!...

Młynarza oblała krew, chciał coś wyrzec; słowa nie mógł wykrztusić z bólu i oburzenia...

— Tato! tato!... — rozległo się z kąta i dwoje odartych, nieumytych dzieci rzuciło się ku niemu.

Młynarz spojrział na nie, nogi mu zadygotały, upadł ciężko na najbliższej stojący kufer.

Dzieci, jedno z jednej, drugie z drugiej strony, pchały się ku niemu; pogłaskał je ciężką dłonią, pocałował, a potem zwrócił oczy na żonę z takim strasznym wyrzutem, że ta, mimo urągającej postawy, odwróciła twarz, nie mogąc znieść tej bezsłownej skargi...

Stara kobieta i wasiaty drab ciekawie patrzeli na całą tę scenę.

— Kasper! przynieś kwaterkę!... — rzekła stara, zwracając oczy z młynarza na próżną flaszczykę... Poznała zaraz, że to mąż siostrzenicy.

Drab wziął flaszczykę, mruknął coś do siebie i wyszedł z izby.

— Dawnoś przyjechał?... — poczęła stara.

— Ani sie mnie nie pytojcie!... — przerwał Marcin, w którym ból i oburzenie mieniły się prawie we wściekłość.

— Toś tak pilnowała chałupy?! — zawołał do żony. — Takeś dozierała?... To jo na to charwoł tela lot!... Piniędzym ci przysyłoł... coś z niemi robiła?... co?!... — mówił drżąc od gniewu, podchodząc ku żonie.

Marcysia podniosła na niego oczy zaiskrzone, wpatrzyła się uparcie...

Młynarz, który już w zapamiętaniu podniósł



rękę, opuścił ją napowrót, patrzył na żonę... Wściekłość ustępowała szybko, jak płomień pożerający papier... Nic nie widział, nie czuł, tylko te oczy, dla których ją wziął, dla których chciał być bogatym... te oczy wprawiały go w odurzenie...

— Oj, Marcys!... — jęknął ciężko, opadając na stół. Pochylił głowę, jakby on zawinił wobec niej...

Marcysia uśmiechnęła się, — czuła, że ma nad nim przewagę.

— Oj, Marcys!... — począł już bez gniewu — żebyś ty wiedziała, jak mi się serce ścisło, kiedyś do wsi przyszedł i nikogo nie zastał w chałupie... Tako mnie boleść wzięła za serce, że powiedzić niepodobno!... Ludzie mi tela naopowiadali...

— Ludziom nie wierz — poczęła łagodnie Marcysia. — Ogodali mnie za nic... Nie dali mi spokoju. Musiałach uciekać od nich... Pisałach po ciebie...

— Jo żodnego listu nie dostol!...

— Bo pewnie źli ludzie przejmowali. Teroz co inzego, z tobom pojedę... Przywiożesz piniędzy? — spytała, przymilając się.

— Com przywioż, to przesło...

— Więc z cemżes przyjechał?!... — krzyknęła.

— Listy mnie źle dochodziły...

— Mógeś nie słuchać!...

— Trudno było...

— Boś głupi!... — W oczach Marcysi iskry się zapaliły.

Stara słuchała z jednakową, pomarszczoną twarzą. Dzieci wystraszone, skulone, poziały to na ojca, to na matkę.

— Grunt sprzedany — cicho odezwał się młynarz, spuszczać wzrok.

— Za wiele? — spytała żywo Marcysia.

— Za trzysta siedemdziesiąt.

— Mos ze sobą?

— Wójtowi oddałem dwieście z procentem.

— Głupi!... — szepnęła żona — a resztę?

— Mom.

— Dawoj!... — popatrzała mu w oczy śmiało.

Młynarz zawahał się chwilę.

— Bois sie?... — spytała.

— Nie... ino, Marcysiu!... — począł błagalnie, wyjmując z zanadru pieniądze — oporządź dzieciska, niech przecie tak nie chodzą! — wskazał na podarte, brudne sukienki.

— To juz moja rzecz!... — rzekła sucho żona.

— Jo będę zarobioł, — ciągnął młynarz — daruj! nie poniewieroj... — pocałował ją w czoło.

— Pojedzies napowrót?... — spytała szybko, odbierając pieniądze.

— Do Hameryki? Nigdy!... Dość juz mom tego. Będę tu robił „przy murarzach“. Znom sie na budowie...

— Rób... — odpowiedziała sucho. — Jo sie dość

nacharowała!... Tyś się wypróżnował w Hameryce... Teraz na ciebie kolej!...

Młynarz nie odpowiedział na niesłuszny zarzut. Patrzył się jeno w oczy Marcysi, jak dawniej... Poweselał, przywołał dzieci, gwarzył z nimi...

— No, wszystko dobrze... — odezwała się stara. — Ty, Marcynie, nie wierz ludziom, ba żonie! U mnie mocie mieszkanie. Jak zarobisz, to i o mnie nie zapomnisz...

— Dziękuję, ciotko... — Młynarz pocałował ją w kościstą rękę.

Marcysia przeszła do komórki.

— Kaspra nie widać — rzekła głośno ciotka. — Skoczno, Michaś, po wódkę! — Dała chłopcu centy, flaszkę. — Przynieś taką, jaką ci codzień daje... Ino pełno przynieś! — upominała.

— Dobrze ciotko — „wyseplenił“ chłopczyk i poskoczył żywo.

Młynarz pomyślał: „Złe dziecko przyzwyczaj!“ ale się nie odezwał głośno.

W chwilę, gdy chłopczyk przybiegł z wódką, harmonja zapanowała w kółku, jakby nigdy nie...

Marcysia śmiała się „po swojemu“, młynarz opowiadał o „Hameryce“, ciotka kabałę ciągnęła na przyszłość, i mimo złej wróżby, którą monotonnym, nosowym głosem wygłaszała, żadne na to nie zwracało uwagi... Podchmieleni, weseli, zjedli wieszczkę i poszli spać...

Nazajutrz, świtaniem młynarz poszedł do miasta „po robotę“.

— Przecież — myślał po drodze — znajdę zajęcie, ogarnę dzieci, siebie, może się jako bieda popchnie!... Bedzie gorzy, to bedzie; byle ino przy Marcysi!... Jakosi ciekowi rażni — i robić się chce i ciek se pracy nie ciężo... Oj, Marcys, Marcys!... Duzoś mie ty kosztowała!... Ha, no — może Pan Bóg dać...

Przeszedł rogatkę, wszedł w miasto — rozglądał się, rozpytywał... Radzono mu do rozmaitych majstrów. Chodził wszędy — ale „jakosi“ nigdzie nie mógł znaleźć narazie roboty. Obiecywali mu, ale z początkiem następnego miesiąca, albo za dwa i t. p.

Schodził tak pół dnia prawie... Nigdzie nic — trzeba zacekać... Może jutro, pojutrze. — Przecież Bóg do...

Z południa już wyszedł z miasta. „Ha, no — trudno!“ — myślał, idąc z powrotem na Prądnik. „Przecież nie ostatni dzień. Coby tyz ciek lo siebie roboty nie znalazł! przecież nie kraść — ino robić, to sie musi znaleźć...“

Pocieszając się tak — stanął przed domem. Na progu dzieci płakały głośno... Zobaczywszy ojca, poskoczyły żywo.

— Tato! tato!... mama posła...

— Gdzie?... — spytał ojciec.

— Nie wiemy... posła rano...

— Wróci... wróci... nie płaczcie! — pocieszał je ojciec. — Jeść wam się chce?...

— Chce...

Młynarz wziął dziewczynkę na rękę — wszedł do izby. W izbie nie było nikogo... Ułamał bułki, dał dzieciom. Dzieci jadły łakomie, patrząc z zaufaniem na ojca; lzy im jeszcze świeciły na wychudłych twarzyczkach... Niebawem weszła stara.

— No cóż? Masz robotę?... — zawołała ode drzwi.

Nienaturalne ruchy i rumieniec na pomarszczonej twarzy kazały się domyślać, że wraca prosto z karczmy.

— Ni mom jesse... — odpowiedział młynarz i dodał zaraz:

— A gdzie Marcysia posła?...

— Kto?...

— Marcysia...

— Ho! ho! Marcysia!... Dobro mi Marcysia!... Jakiś ty głupi, Morcin!... He! he!... — poczęła mu się w twarz śmiać.

— Nie rozumiem, co chcecie...

— Co, chce? Nic nie chce. Ino ci padom, żeś głupi!... Doleś jej wczoraj pieniądze — i ty myślisz, że ci tu będzie siedzieć?! — ciągnęła krzykliwie, wymachując rękami pod nosem młynarza — spakowała manatki i — dalej za Sobkiem!...

— Za jakim?... Nic nie wiem...

— To się dowiesz!... Za tym, co w kryminole

siedział. Nie gadali ci we wsi?... Kazała pedzieć, że cie widzieć na oczy nie chce!...

— A dzieci!... — krzyknął rozpaczliwie młynarz.

— Kazała ci pedzieć, że kie mosz dzieci, to se je żyw!... Oj, Marcysia!... Widzisz, jako twoja Marcysia!... — krzyczała, przedrzeźniając, stara.

W myślach Marcina nagle rozjaśniło się wszystko. Opowiadania kobiety, gdy wchodził do wsi, dogadywania ludzi o Wojtku, o Sobku, o rozpucie, pijatykach — to wszystko zobaczył, jak na dłoni, oczy otworzył szeroko... I nagle te obrazy poczęły ciemnieć — wszystko zaczęło wirować, tańczyć, cała izba kręciła się w oczach — czuł wrażenie, jakby leciał gdzieś z izbą i ze wszystkim w okropną przepaść...

— Raty Boskie!... — krzyknął tylko, oczy przymknął i pozostał bez ruchu, bez myśli, jak drewno...

Nie słyszał krzyku dzieci, wystraszonych zachowaniem się ojca, gadania ciotki — nic nie czuł... Stara zauważyła jego dziwny stan. Sądząc, że zemdlał, poczęła lać wodę na niego...

Otrząsnął się — zimno przeszło po nerwach... Ożyły... Popatrzał na starą — wzdrygnął się przypomnieniem — i znów popadł w odrętwienie...

Uszło tak parę godzin.

Dzieci zachowywały się cicho, myśląc, że ojciec

spi... Stara pomruczała do siebie — chciała coś gadać do młynarza, wreszcie machnąwszy ręką, wyszła do komórki.

Nareszcie po długim czasie młynarz przetrął oczy, wstał, wstrząsnął się, jakby się chciał opędzić dręczącym myślom... Popatrzał na dzieci.

— Gdzie ciotka?... — spytał.

— W komorze... — ozwały się cicho.

Wszedł do komórki; niedługo zabawiał — wracając, cicho przytknął drzwi za sobą, ucałował dzieci — jedno i drugie — i prędko wyszedł... W twarzy jego można było czytać jakieś silne postanowienie, dyktowane rozpaczą...

Dzieci popatrzały na siebie, na drzwi — i naraz wybuchły szczerym, bolesnym płaczem.

— Gdzie posed tato? — spytała w płaczu dziewczynka.

— Nie wiem... — odpowiedział chłopczyk i obydwójce zalkali jeszcze głośniej.

Zbudzona ich krzykiem — stara wyszła z komory.

— Czego krzyczycie, knoty?...

W odpowiedzi jeszcze głośniej się rozplakały. Stara podeszła do stołu — wysypała na stół talki...

— Gdzież ojciec?...

— Posed... — odpowiedział chłopczyk, zanosząc się od płaczu.

— Gdzie?

— Nie wiem...

— Hm, — mruzczała stara do siebie — zostawił na stole pieniądze... Juści pewnie dło mnie...

Poczęła liczyć, układając w kupki.

— Całe czterdzieści... Kto go ta wie! Może dło dziecisk... Nie krzyczcie!... — rzekła do dzieci. — Ojciec wróci z mamą... Słyszycie, knoty?... Żodnego wrzasku mi tu nie robić!...

Dzieci umilkły, starając się zdławić łkanie.

— Jeść... ciociu — wyszeplecił chłopczyk.

— Przyniesę wam bułek!... Michaś!..., ino pa-miętaj o Stefci! a cicho się zachowujcie!... Wnet wam przyniesę — wnet...

Zgarnęła pieniądze, zawinęła w brudny strzępek i włożyła do zanadrza... Wychodząc, przytknęła drzwi na „skóbel“ — i poszła prosto... do karczmy.

Dzieci czekały cierpliwie, patrząc uporczywie przez okno, rychło ciocia wróci... Minęła jedna godzina, druga, nikt nie przychodzi... Dziewczynka znowu poczęła szlochać, za nią chłopczyk — wreszcie wyplakawszy się serdecznie... zasnęły.

Ciemno i cicho było w izbie... Od czasu do czasu tylko wiatr jękiem trącił o szyby. Wiatr jęczał nad uspionymi sierotami

.
.
Ranek był we wsi... Słońko, jak zwykle swo-

bodne bez osłony chmur, patrzyło promieniami poza najodleglejsze widnokregi... Tu złamie promień o wodę, tam, jak strzałą, przeszyje ciemnię drzew, budząc śpiące ptaszęta; ówdzie chyłkiem zagłądnie do okien, rzuci garścią światła zgromadzonej czeladzi, która kołem przy jednej misie obiadła, a zwiija się chyżo, bo czasu szkoda: pogoda stała, a owies, a jęczmień w polu...

Nie w każdej chałupie gwarno koło misy, nie w każdej ruch i życie panuje. „W chałupie komornika?...“ powiadasz... He, przecię i komornikom nie najgorzej, gdy na polu ładnie!... A od czego przysłowie: „tak będzie, jak padnie?“ Nie zbierają sobie — to drugim, a roboty jest dość u ludzi latem... Gorsza zima.

Toć i komornik ma co dziś w gębę włożyć. Ale „jest casem przeznacenie, — powiadają ludzie — ze jak jedno w chałupie się styra,¹ to syćko idzie na marnel!...“

Takie „przeznacenie“ musiało chyba dotknąć i zagrodę młynarza... W samym środku wsi ugory, pastwiska — a to dawniej „jego ładno rola...“ chałupę zaś ludzie zdaleka obchodzą, zegnając się ukradkiem. Wiecznie zamknięta, ani „zywe duse“ w niej... Powiadają, że w takich chałupach, „ka przedtem była bosko obraza, radzi „zli“ mieszkają...“ — Ha! może.

¹ Styrać się — zmarnić się.

Więc rankiem słonko, kiedy „wyźrało“ z za lasu, biegnąc od strzechy do strzechy, padło promieniami i na pustą chałupę... Słonko ciekawe, radeby wszędy wiedzieć, czy noc nie przyniosła nowego mieszkańca...

I po dachu ślizgało się promieniami, przeszywając światłem cienkie gonty; a gdzie szerszą szczelinę otworzyły wichry, wyrrywając pobicie, — tam rzucało całym snopem światła... Okiennica na strych otwarta; promienie padły do izby i nagle drgnęły, zwinęły się napowrót, rozprasząc się po konarach nad dachem...

Lecz słonko idzie wyżej; wnet wszystkie promienie na świat rzuci... — W całym świetle potworniejsze wydaje się złe — toż promienie, chcąc słońcu złagodzić okropność obrazu, jaki dojrzały — spoiły się napowrót, skoczyły okiennicą do izby i oblały całym swem światłem wiszącego trupa...

*

Wieczorem u wójta zgromadziła się cała „rada“. Miano ważną sprawę „do uradzenia“ — toż nie brakowało nikogo... Pisarz tylko, jak zwykle, spóźnił się, wiedząc zapewne, że bez tak ważnej jak on osobistości rady nie rozpoczną.

Mylił się jednak poczęści, gdy sądził, że będą na niego czekać. Już bowiem cztery butelki wypróżnili, zanim się ukazał... Ósma kolejka szła

wkoło, kiedy pijący, zamiast do sąsiada, — przypił do stojącego poważnie na progu pana pisarza.

— Żali powiedziałbym, żebym się nie spóźnił, gdyby nie okoliczność nadzwyczajna... — mówił poważnie pisarz.

— W ręce wasel!... — przerwał mu radny.

— Na zdrowie!...

Pisarz wziął szklanę i już czwarty raz obrócił ją w ręku, przezierając się w niej — gdy nagle wichur z łamanym konarem jabłoni trzasnął w szybę...

Szkoło rozprysło się na drobne kawałki, a wiatr, skoczywszy otworem, zdmuchnął ciemne światło lampy... „Wzdrygli“ się radni, każdy przerażonym wzrokiem poglądał w okno... Chwilę cisza w izbie zapanowała, tylko na dworze huczało — coraz to głośniej.

Wójcina wpadła do izby, zatkała poduszką wybitą szybę i zaświeciła lampę.

Przerażenie ustępowało z wolna z twarzy radnych, nowa kolejka rozweseliła zalekłych...

Wtedy do izby wsunął się milczkiem „chuderlawy“ czelczyzna...

— Ho! Jędrak od Kopańdy!... — rozległo się od stołu. — Jędrzeju! w wasę ręce!... Co ta słychać u was?...

— He, nic tak ciekawego... — mówił spokojnie czelczyzna — młynorz sie obiesiól...

— Kto?!... — spytali wszyscy naraz.

— Młynorz...

— Morcin?!

— Ehę!

Umilkli wszyscy... Przerażenie, większe niż przedtem, odbiło się na twarzach. Nawet wójt, zawsze czerwony — pobiełał w jednej chwili... A na polu huczało, jak w stu fabrykach.

— Nie nadarmo tak jęcy, nie nadarmo... — odezwał się po chwili jeden z radnych.

— Obiesiól sie, obiesiól, padocie... — mówił wójt. — Ha, no! nic mu już nie pomoże... Wiecne odpo... — nagle przerwał, wzdrygnąwszy się słów, które chciał wyrzec z przyzwyczajenia... Wichur zawył przeraźliwie.

— Nie nadarmo jęcy, nie nadarmo... — powtórzyli radni...

— Widać takie miał przeznacenie... — począł wójt.

— Żali powiedziałbym... — przerwał poważnie pisarz.

— Na świecie!... — wtrącił podwójci.

— Na moją dusyckę!... — dokończył połowy cienkim głosem i przysunął się ku stolowi.

Za chwilę kolejki szły rażno; w izbie znowu gwarno, jak przedtem, a na polu wiatr jęczy żałośnie i bije w pozostałe szyby zinnem swem skrzydłem...

BEZDOMNI

— Mamo! daleko jesteście?...

— Z pół mili... Zaraz będą chałupy za tym lasem. Zimno ci, Jasiu?...

— Nie, matusiu, nie...

Taką urywaną rozmowę wiodło dwoje ludzi — matka i syn. Matka szła naprzód, torując drogę synkowi w zaspach śniegowych... Ile razy głębiej zapadała, — zwracała się do dziecka, mówiąc:

— Jasiu! ostrożnie... Obejdź bokiem...

— Dobrze, matusiu, dobrze... — szeptał zmarzniętymi wargami chłopiec, usta zacinał i nie skarżył się, biedny, choć mróz do serca zaglądał... I teraz, gdy matka pyta go:

— Zimno ci, Jasiu?... — On odpowiada: — Nie, matusiu, nie... — a odpowiedź ta drżąca, jak głos potrąconej struny, potwierdza pytanie, choć słowa kłamią rzeczywistości.

Dwoje ludzi w walce z zaspami śniegu... Dwie nikłe istoty, uczuciem gorące, w zapasach z bezgraniczną, zimną, martwą naturą... Kto zwycięży — człowiek, czy bezduszy ogrom?...

— Mamo, daleko jesteście?... — pyta Janek.

— Zaraz, zaraz, ino pódź, Jasiu, nie ustaj!... — błaga matka. — Za mną, za mną... — i kolanami kraje stężaly śnieg, ostatnich już prawie dobywając sił... Czuje, że słabnie, ale i to czuje, że musi iść... Inaczej zimna śmierć otuli ją i Janka.

— Zeby się ino śnieg nie porusol!... zeby ino wiatru nie było!... — mówi do siebie szeptem niezrozumiałym... A tu, jak na odpowiedź, wicher powiał od lasu i ostrym śniegiem w twarz jej rzucił.

— Boże!... — szepnęła tylko i dalej stawia omarzone nogi, martwe, szkieletowe... A za nią, woła raczej niepojętą niż siłą prowadzone, stąpa w ślady skostniałe dziecko, otulone paruchą,¹ którą matka zdjęła ze siebie...

Chwilę ciszy — i wicher zerwał się jeszcze gwałtowniej niż przedtem, sprzął wszystkie tużemany i ostrą śnieżycą ku obłokom podrzucił...

— Mamo...

— Co? moje dziecko...

— Mamo... — szepleni pacholę niewyraźnie i, skulone, opiera się o twardy śnieg.

— Jasiu! jak ino mozes... juz niedaleko!... — błaga matka, a w głosie jej drgają wszystkie struny: miłości, prośby i bezgranicznej rozpaczyny...

¹ Parucha = lniana, gruba płachta, w przeciwstawieniu do cienkiej „łoktuski“.

Zdejmuje chuścinę z głowy, — otula dziecko.

— Jasiu! dziecko moje... jeste kawołecek!...

— Nimogę... mamę... — szepcze coraz ciszej i bezsilne opada na zmarzłe łono śnieżne...

Matka stanęła, — łamie skostniałe dłonie, a wicher, jakby okropności chciał dodać jeszcze temu przerażającemu obrazowi, — rozwiał jej włosy czarne, i straszną była w tej niemej, niebo skarżącej rozpacz...

Śnieżyca-matka, widząc swe uosobienie, ostremi pocałunkami drapie ją po twarzy...

— Jasiu!... — szepcze przez zęby i nachyla się do dziecka, którego wzrok szklany, na nią bez wyrazu zwrócony, odebrał jej resztę sił. — Pragnie podnieść dziecko, i sama na kolana upada... Mróz ścisnął je, przywarł do ziemi i, ziębiąc krew, pchał się ku sercu...

— Gdzie ty, Boże, co dajes ginąć dziecku?! — wyrwało się zgrzytem z zamarzłych warg.

— Za co mnie karzes tak strasznie?... Tu... bez księdza... — Pragnie się podnieść, kolana przymarzły do śniegu...

— Przekłęci ludzie!... wygnali z chałupy... Boddaj tak... — Nie dokończyła. Ostatek rozpaczyleciał z przekleństwem...

Ból straszny ścisnął serce, wyżerał oczy i promieniami rozchodził się po ciele... Wargi chciały jeszcze modlitwę szeptać; myśl ją dokończyła... może — na drugim świecie...

Blyszczaly diamenty śnieżne, mieniając się barwami w świetle gwiazd, które rzadkimi oczkami patrzyły z poza czarnej mgły... Blyszczaly gwiazdki po śniegu — a cztery większe od innych, jak rzadkie okazy diamentów między piaskiem drogich kamieni... Blyszczaly oczy zamarzłych.

Litośny wicher rzucił śniegiem na cielesne trumny — i rosła... rosła śnieżna mogiła. . . .

I uszło trzy dni... Czas płynie jak woda. Wioska biała promienieje gwiazdkami śniegu w niecieplem świetle słońca...

Ludzie zbliżka, od kościoła — spieszą po skrzypiącym śniegu na mszę św. Zdalsza nie dojdzie, bo zaspy...

— Komu to wczora dzwonili... — pyta stary gazda kobiety już niemłodej.

— E, wiecie... te j od Chowańca.

— Umarła?

— Toście nie słyseli! Umarzło biedactwo kiesz¹ razem z dzieckiem. Wypędzili z chałupy. Ta i posła na noc... Znaleźli ją dopiero na drugi dzień — pod zospami. Narobiło się to, narobiło!... I wygnali, skoro już sił nie stało, jak nieprzymierzając — psa...

¹ Kiesz = dawniej. Lecz najzwyczajniej używane zamiast: przedwczoraj.

Stary pokiwał głową, — a idąc ku kościołowi, szeptał „Wieczne odpoczywanie“ i „pięć pocierzy“ za duszę komornicy...

Przecież i jemu robiła...

— A było to pracowite — pomyślał; — tak marnie... Przecież to ludzie gorsi od zwierząt!... Wygnać na mróz... I znowu: „Wieczne odpoczywanie...“

DWIE KARTKI Z ŻYCIA NAUCZYCIELA

Smutnie i ponuro przedstawia się górską okolica w czasie zmiennego powietrza marcowego... Deszcz i śnieg, naprzemian, zsyłają nieba na ziemię skał, kęp i wiecznej nędzy...

Z nędznych chat, daleko od siebie porozrzucanych, wylażą nędzniejsi jeszcze ludzie, osłabieni jałowem życiem jak muchy wiosenne, i tęskne oczy zwracają ku słońcu... Liczą dni i przyrost światła słonecznego — wyczekując wiosny, która dla nich wszystkie mieści nadzieje... Złudzeni jaśniejszym przeblyskiem słońca, wnet popadają w pierwotną odrętviałość, gdy ciepłe słonko zakryje się białą chmurą śnieżną i mokre płatki śniegu lecą, jak manna, która ziębi nie karmi...

Lichą dróżyną wiejską wloką się fury — jedna za drugą... Zgłodniałe koniska dobywają ostatnich sił, ciągną jedle i buki po kamienistej drodze, pędzone przekleństwami i jeszcze wyrazistszemi razami batów. Czasem litośny właściciel ramieniem

koniowi pomoże — i rzechy można, że to drugie bydlę, któremu nędza kazała mieć jeden cel z tamtem: dowlec drzewo do fabryki, by za krwawo zarobiony grosz z żydowskiej kasy żywności kupić i popchnąć jakoś biedę...

Przy kamienistej drodze dom stoi drewniany, mało różniący się od innych chałup wiejskich; napis tylko nade drzwiami wskazuje, że to szkoła, mieszkanie „pana profesora“ i świątynia wiedzy dla nędznie okrytej dziatwy...

Właśnie dzwonek przebrzmiał po rannej nauce. Wysypała się dziatwa na drogę... Małe biedactwo, skulone od zimna, spieszy każde w inną stronę na obiad... Obiad!... nigdzie chyba nie ma większej ironji, jak w tem znaczeniu użyte słowo. Na cały ich obiad składają się: ziemniaki od rana przygrzane i parę łyżek owsianego żuru...

W pokoju „pana profesora“, który służy za sypialnię, kancelarję i bawialny pokój, jeżeli kiedy jest takim, — dwóch ludzi się znajduje: pan nauczyciel, który co dopiero z izby szkolnej wyszedł, i młody pan Władysław R., który z wizytą zawitał w nędzne progi nauczycielstwa. Żona nauczyciela Z** w kuchni przyrządzeniem obiadu zajęta.

— Jak ci się tu, Michale, powodzi?... — zapytał nauczyciela pan Władysław.

— Jak zawsze... — brzmi odpowiedź tonem przygnębienia. — Wlecze się życie z dnia na dzień wśród utrapień rozmaitych...

— Jakich naprzykład?... — pytał dalej troskliwie gość.

— At, nie warto i gadać!... — machnął ręką pan Michał.

I nastąpiła chwila milczenia, w czasie której oczy nauczyciela posunęły się przez okno po smutnem polu marcowem, a wyraz ich był taki sam, jak posępnego powietrza: przygnębiony i apatyczny. Pan Władysław z bólem czytał w obliczu nauczyciela całą jego ponurą epopeję życia.

Milczenie przerwał krzyk dziecka w kuchni, które się niewyraźnym głosem czegoś domagało, czy od mamy, czy też od starszego brata.

Pan Michał drgnął, odwrócił oczy od okna i spojrział na przyjaciela...

— Tak — począł z rozgoryczeniem — jesteś w szkole, to chlipaj kurz w ciasnej izbie, unoszący się z pod stóp kilkudziesięciu dzieci; przyjdiesz do domu odetchnąć, to dzieci „chleba!“ wołają — żona mówi, że brak jej tego lub owego, — a tu licha pensja i na pół miesiąca nie wystarczy!... Ludzie na wsi zowią mię: „panem profesorem...“ Co za ironja!... Ucz teraz tyle dzieci w ciasnej izbie, męcz się z niemi jak wół — to co zato zyskasz? Niechęć ze strony chłopów. Bo, proszę ciebie, — dzieci chodzą nieregularnie, w domu książki nie wezmą w rękę, a ojciec dalejże na „pana profesora“, że nic nie uczy!... Zrobisz zaś

wykaz nieuczyszczających, ojciec zapłaci karę, — to znów klnie i wymyśla, że go zdzierasz!... I tak zawsze. Przyjdzie inspektor, — to dziwi się młemu postępowi, mnie dyscyplinarkę wytacza... I za co?... Za to, że z prawdziwym poświęceniem pracuję, chcę, by dzieci, dorósłszy, nie były takimi ciemnymi, jak ich ojcowie... I to jest moje życie. Nie o takim ja marzyłem, wstępując w ten stan najędźniejszy. Mnie on wtedy zdawał się apostołskim. Myślałem, że wszedłszy między ten lud nasz kochany, z zapalem spełnię nasz obowiązek patriotyczny — oświecania go książką i słowem, przykładem i zachętą... Czasem poznałem marność tych ideałów. Spotykając wszędzie niechęć i nieufność ze strony chłopów, ostrą krytykę zgóry, trapiiony przytem nędzą i ciągłym staraniem się o chleb codzienny, zwłaszcza, gdy Pan Bóg i rodziny mi przysporzył, wówczas rzekłem sobie: „Nic nie warto robić!...“ Machinalnie spełniam już teraz obowiązki, — życie zabiło we mnie zapał, z jakim wszedłem do tego zawodu, i dziś jestem maszyną rozstrojoną, w której tylko odnajdziesz same dźwięki: wątplenia, goryczy, prawie że rozpaczy! Takie jest moje życie...

Przestał — i lzy stanęły mu w oczach; podparł głowę i w bezmyślną pograżył się zadumę...

Pan Władysław słuchał uważnie dawno niewidzianego przyjaciela; współczuł z nim serdecznie... Teraz wstał — podszedł ku niemu i, ująwszy

rękę przyjaciela, uściśnął ją ciepło, przyjacielsko... To była cała jego odpowiedź na skargę dawnego kolegi.

Drzwi od kuchni otwarły się i weszła młoda żona, niosąc obiad: talerz kapusty i dwa talerze ziemniaków ze słoniną...

— Proszę pana!... — rzekła, zwracając się do gościa; poczem wyszła do kuchni.

Pan Michał uśmiechnął się gorzko, westchnął i, prosząc przyjaciela, dodał:

— Niewykwinny obiad, jak widzisz...

— O! — podjął Władysław — wymienite! To mój przysmak...

I zasiedli, zmiatając w milczeniu gorące ziemniaki... W czasie obiadu urywaną wiedli rozmowę o mało znaczących stosunkach miejscowych.

— Wiesz co, Michale — podjął pan Władysław, gdy skończyli obiad — podobno sejm polepszył wam płace...

— Tak — odrzekł ironicznie pan Michał — przyznali nam procent, prawie jak jałmużnę na odczepne, zapowiadając zgóry, że to nam powinno wystarczyć na dłuższy szereg lat, żeśmy już od wszelkich żądań powinni nadal odstąpić. Czy to nie ironja!... Panowie w sejmie drwinki z nas stroili, mówiąc, że się mamy dobrze — a jeden nawet na tyle był bezczelny, że stawiał, jako przykład, tłustego nauczyciela w swojej wsi!... Więc cóż mamy robić?... Petycje chyba ślać do

Wiednia na ręce posła wrogiej nam narodo-
wości?...

— A ja ci powiem, Michale, coś lepszego...

— No?...

— Złączcie się razem i solidarnością silni —
wy, bracia jednego zawodu, stworzywszy swój
własny organ, któryby był wyrazem waszego po-
łożenia, rozwińcie swój program, któryby odpo-
wiedział chęciom waszym, rozwińcie go społecz-
stwu przed oczy!... Dalej — zjednoczeni kształc-
cie się samopomocą!... Inteligencja wy, szczepi-
ciele oświaty, wybijajcie ponad jednostki innych
zawodów!... A wtedy — wy, silni, możecie stanąć
śmiało i rzec społeczeństwu: „My, odłam inteli-
gentny z pośród was, — żądamy stosownego wy-
nagrodzenia za naszą pracę!...“ Sejm, jeśli jest
reprezentacją narodu, musi ustąpić waszym żą-
daniam.

— Bardzo to ładnie — przerwał pan Michał —
w teorii rzeczywiście cudnie się przedstawia!...
Wszak mamy swój organ...

— Który nędzę stuoką kreśli i jest głosem krzy-
czącej mewy, głosem, w którym drgają tylko
struny rozgoryczenia!...

— Bo inaczej być nie może!...

— Może. Jeśliby ten organ występował imie-
niem tych jednostek, które, same inteligentne,
pełne nauki, a przytem pełne ideałów i poświę-
ceń, rzuciły się na ten gorzki zawód — to zgoda;

ale zważ, że to jednostki dość nawet rzadkie.
Większość — powodowana czy to słabością du-
cha, czy też prostem filisterstwem — żyje z dnia
na dzień bez samokształcenia. Co miała wiedzy—
traci ją zczasem i niczem się nie różni od prze-
ciętnego robotnika... Ta większość kieliszkiem
tylko uprzyjemnia swój żywot.

— Bo musi!... — przerwał z goryczą pan Mi-
chał — pcha ją do tego nędza...

— Dobrze, pozwól!... a gdzie siła ducha?...

— U tych ludzi jej nie szukaj. Jeśli była
w nich, to ją troski i ciągle szamotanie z losem
złamią...

— A gdzie te jednostki? ta lepsza część z was?
Ci powinni ich pociągnąć za sobą i zmusić moral-
nie, w imieniu polepszenia bytu, do nauki!...
Lud, starając się o polepszenie bytu — oświeca
się. Lud was wyprzedza — was, odłam, mający
prawo zwać się „inteligentnym!...“ Podnieście
wśród siebie poziom inteligencji; a zobaczycie,
czy milczeniem pominą wasze głosy!... Przyznaj,
że u was lenistwo górą. Mówicie, że polepszenie
bytu wypędzi lenistwo i zachęci do pracy... Ha!
może. A z drugiej strony może je powiększyć.
Natomiast wy, skupiając się, pracując nad sobą,
zmusicie ich moralnie do poparcia was!...

— To tylko teorja...

— Wiedz, że każda teorja staje się praktyką,
gdy wchodzi w życie...

— Więc jak ją myślisz w życie wprowadzać?...

— Jak rzekłem. Łącznością, solidarnością można tylko działać. Potrzeba najpierw ludzi, którzyby zainicjowali tę myśl: wszak ona i tak w każdym z was rozumniejszych tkwi... Brak tylko energii! Potrzeba wieców — gdziebyście się zbliżyli, poznali myśli i dążenia każdego... Potrzeba wam pisma, któreby energicznie popierając wasze żądania, dało prócz tego wyraz waszej inteligencji w świetnych artykułach, pisanych przez was samych... Dalej — potrzeba konkursów zawodowych, o nagrodach pieniężnych, by zachęciły biednych a zdolnych — do pracy... Dalej...

— Dobrze, dobrze — przerwał pan Michał — na to potrzeba najpierw pieniędzy, a ten środek chyba nam — przynasz — najdalszy.

— Po części nie tak daleki, jak się zdaje... Jest was siła — z małych ofiar tysięcznych powstają miliony!... Potrzeba wam tylko ludzi. O, to najważniejsze... Sądzę, że ludzi tych u was nie brak; tylko są oni ukryci; zdolni, inteligentni, a zniechęceni, jak i większość... Tych rozruszają wiece, zgromadzenia, pogadanki — wreszcie owa siła, którą muszą zobaczyć, gdy się złączycie!...

— Optymizm, nie więcej — mówił sucho pan Michał. — Czy nam pozwolą się zgromadzać?... urządzić wiece?... Mamy my czas na pogadanki?... Toć powiedzą, że nam konferencje powinny wystarczyć — i basta...

— Ja sądzę, — ciągnął dalej pan Władysław — że czas się znajdzie. Jest dużo świąt. A wiece i zgromadzenia gwarantuje konstytucja...

— U nas?... Ha! ha!... — roześmiał się gorzko pan Michał — chyba nie wiesz, drogi, jak my jesteśmy zależni — wprost terroryzowani. U nas, gdzie istnieje ten sławny tajny donos, — ty sądzisz, że się każdy zechce narażać tam... u góry?... W takim razie pozwól, że ci powiem, iż patrząc z boku, położenia naszego nie znasz dokładnie; masz wprowadzić idealne zamiary i chęci, które niestety zawsze chęciami zostaną... Ty myślisz, że i w samym naszym zawodzie nie znajdują się ludzie, którzy nam zechcą w takim razie szkodzić?... Wszak sam powiedziałeś, że większość nas to ludzie bez wyższej inteligencji... Czy oni zrozumią doniosłość łączenia się, samokształcenia i tak dalej?... Już to tak zostanie...

I pan Michał zwiesił głowę z jakąś nieokreśloną apatią, a Władysław, milcząc, patrzył się długo w jego zawiędłą twarz, oko bez życia — i pomyślał:

— Jeśli wszyscy tacy — to szkoda i mówić!... Żal mi ich... Ot, co stosunki nasze robią z ludzi... To maszyny!...

Dzwonek odezwał się na strychu... Dzieci poczęły napływać do izby szkolnej... Niezadługo i pan Władysław R** żegnał się z przyjacielem, z żoną jego, i ubrawszy się, wyszedł przed siebie;

za nim postępował jeszcze, wyprowadzając gościnnie, nauczyciel...

— Odwiedzisz mnie jeszcze?... — spytał.

— Jeśli dłużej zabawię, owszem...

— No, do widzenia!... Trzeba iść do klasy. Dzieci wrzeszczą. Lada dzień spodziewam się inspektora... Do widzenia!...

Ucałowali się — rozstali... Gwar dzieci nagle ustał za wejściem „pana profesora“, jak za jakim zaklęciem czarodziejskim. Pan Władysław wszedł do sanek, uklonił się jeszcze do okna nauczycielowi — i słycać tylko było monotony głośny pacierz dziatwy, to drobne dzwonki mknących po gładkiej gołoledzi sanek...

*

W powiatowym miasteczku L** ruch panował wielki... Jarmark — więc mnóstwo ludzi ścigało z okolicy i z dalsza. Krzyki, nawoływania przekupniów, klótnie handlujących żydów, beczenie ciągniętych na rzeź cieląt, ryki głodnego bydła, śpiewy hałaśliwe ubłoconych pijaków, wszystko to zlewa się w jeden hałas jarmarczny, niesłyszany w innych zbiegowiskach, li tylko na jarmarkach mający miejsce...

Dodać potrzeba, że jarmark odbywa się w czasie przejściowym z zimy do wiosny, błoto więc, mieszane tysiącami stóp, przelewa się jak rzeka brudnej lawy... Gdzieniegdzie można napotkać

sterczący z błota but lub „kerpiec“, zwyczajne obuwie ludu podkarpackiego. Pijany nie dba, kerpiec zostawił w błocie i idzie dalej boso, choć to przecie jeszcze zimowy czas...

Prócz kotłującego różnobarwnego tłumu, toczących się w ciżbie wózków, obłoconych długobrodych hałatników, najwięcej gromadzi się „luda“ przy straganach, jatkach, miejscu dla bydła i przy czerwonej „prepinacyi...“ Tam już największy hałas. Przyjętem jest u ludu, że każdy prawie zbliższy ciągnie na jarmark, czy ma co sprzedać, kupić, czy też nie ma... Przynajmniej pogwarzy ze znajomymi, poskarży się na biedę, dowie się, czy było tanie, a co najważniejsza, upije się „przy okazji...“

Tacy, przejrzawszy jarmark, siedzą w „prepinacyi“ do późnej nocy, gdzie biorą czynny udział przy każdym „litkupie“ znajomych sprzedawców... Dobrzy do gwary, do „kompanji“, póki im te litkupy języków nie poplączą i nie zwałą pod lawą karczemne...

Ot, i teraz pełno ludzi w propinacji. Ciżba, za duch, kotłowanie i hałas nieopisany... Każda izba nabita, w sieni nawet i przed sienią stoją ludzie.

Tu jakaś kobieta ciągnie chłopca za „chazukę“ i wymyśla wrzaskliwie; tam paru czerwonych parobczaków namawia nieśmiało dziewczęta, by choć na niedługo, „na końdecek“, wstąpiły do izby szynkowej.

Gwar w najrozmaitszych tonach miesza się z krzykliwym śpiewem pijanych...

Ot, właśnie, jakiś niemłody gazda, porządnie „zakropiony“, kolysze się „na letkich kerpiołkach“, a szarpie z kobietą, która się stara wyprowadzić go „do chałupy...“

— Tam dzieciśka głodne... Trzeba wziąć soli. Tu nicego nie wysiedzis!... — mówi kobieta uparcie...

— Eh, djabli ze solom!... — odpowiada jej. — Teroz sie nie uciesę — kiez sie uciesę?... — i obejmuje ją wpół, śpiewając chrapliwie:

Ani jo zagrody, ani jo piniędzy!

Syćko djabli wzięni — jesce umrę w nędzy...

— To nie pij!... — krzyczy mu kobieta w uszy... — nie daj zydowi!...

A gazda ciągnie ją do izby, kończąc:

Ktoz mie tak urocy — ktoz mie tak ugości?

Jak nima piniędzy — do zyda noprości!...

I jeszcze z za drzwi, z hałasu się wydobywa:

Pił mój dziadek jesce — i ociec mój pijoł...

Wtoryzby sie synek z tatusiem wymijol!...

A w sieni parobcy, ciągnąc dziewczęta, nuca im już ciszej:

Na samym wiersycku — bucek przy lescynie...

Powiedz-ze dziewczyno, cy mie kochos, cy nie?...

Mieszanina to poezji, spadłej w jarmarczne błoto, i najrzeczywistszej prozy, która dopiero w kontrastach wpada w oczy.

Z malej izdebki, którą „pon prepinotor“ specjalnie dla inteligentników przeznaczył, wysypała się do sieni cała owa inteligencja, mieszając się z różnobarwnym tłumem...

Więc było tam paru diurnistów z urzędu podatkowego i ze sądu, dwóch najważniejszych w miasteczku instytucyj, oprócz nich paru nauczycieli z okolicy.

Pierwszego każdego miesiąca, w dniu odbioru pensji, można ich tu spotkać. To jeden dzień w miesiącu, w którym wszysecy ci „pensyjni“ czują się weseli, zadowoleni, jakby co najmniej każdy z nich dzierżył w kieszeni dyplom na szefa ministerstwa.

Jeden z nauczycieli, ów apatyczny przedtem pan Michał, potknął się o nierówny bruk szerokiej sieni, i z przekleństwem potoczył się ku przeciwnieległej ścianie...

— Ho! ho! Michał już urznięty!... — zawołali chórem towarzysze kieliszka. A pan Michał, chwytając się, nucił dosłyszczaną śpiewkę:

Powiedz-ze dziewczyno, cy mie kochos, cy nie?...

Jeden z kolegów wziął go pod rękę, wyszli przed próg.

— Gdzie idziemy?...

— Do mnie... na krótkiego!... — zaproponował jeden z „podatkowców“.

— Niech będzie!... — ozwał się pan Michał głosem przerywanym częstą czkawką... — Pół pensji djabli wzięli, niech wezmą i resztę!... — i ruszyli razem przez rzekę błota.

Ludzie znajomi spotykają „pana profesora“, zdejmują zdaleka kapelusze, kobiety całują go po rękach, a „dziwują się, że pon profesor tak nie umieją chodzić po błocie...“

Bo rzeczywiście pan Michał chwiał się, ślaniał na wszystkie strony; gdyby nie pomoc towarzyszy, dalby za wygraną i popłynął z falą błota na skrzydłach... alkoholu...

— Głupi ten Wladek!... Czy my nie ma-my ide...alów!... — mówił głośno pan Michał do podtrzymujących go towarzyszków. — Łączmy się!... Łączm... — i czkawka nie pozwoliła mu dokończyć.

Jakiś stary emeryt-tetryk, któremu jeszcze z życia obserwacja pozostała i rękaw pytań nierozwikłanych, obchodząc zdaleka błoto, o ile się dało, dojrzawszy ludzi, którzy idą prostą drogą przeciw wzburzonemu falom... błota, — zapytał siebie po raz setny:

— Czy pijaństwo wyradza nędzę, czy nędza pijaństwo?...

I po raz setny nie rozwikłał pytania...

SIEROTA NA „DOCHOWKU“

Mala chatka stała pod lasem na odludnem polu. Do około niej puste łąki,¹ a dalej las, pnący się czernią po stromej górze ku niebu... Ta samotna chatka, jak koleba na polanie² na wygnañczy los skazana, kryła przecież ludzi w wąskim i pustym wnętrzu. Pod okienkiem, w którym dwóch szybek brakuje, siedzi dziewczyna na ławie niskiej, ledwo co zwiększa ociosanej.

Sama jedna w chatce, jak pustelnica. Ręce spłotła na kolanach i patrzy przez okno w las, ku niebu...

Piękne, samotne dziewczę z nędznej izby w mieście może i pałacyk stworzyć... Niestety! często bywa tak; nędza pomysłową doradczynią...

Ona zpała nędzę i patrzy na nią, ale myśli nie zna innych, oprócz tęsknoty samotności, oprócz rozpaczy szlachetnej, która się wysiła nad sposobami życia, gdy ich znikąd nie ma.

¹ Łąki = rola przez kilka lat nieobsiewana.

² Polana = łąka w górach; koleba = szopa na polanie, sklecona z pniaków i nieociosanych belek.

Raniutko — tak pięknie na polu, że śmiać się tylko do letnich obrazków dnia słonecznego!... Ona lzy ma i smutek na twarzy, równie piękny jak uśmiech. Piękności swej nie czytała z luster, a w wodzie-zwierziedle widziała za sobą błękitne niebo. Porównywać nie śmiała... Jej — do nieba!...

Lamanem światłem, pomieszaniem z czernią błękitną lasu i zielonością szarą łąk, wpadało słonko do chatki...

W świetle tem rozżęskniona Anielka, z załamanemi rączkami, jasnowłosa i smukła, a przynębiona nieszczęściem, była żywym obrazkiem „pięknego smutku“.

Oczka sine, duże, do słonka posyła, jakby stamtąd pomocy błagała. O ludziach ani pomyślała dotąd! „Oni tacy zimni!“ Wszak знаła ich od dziecka. Do wsi biegła często, kiedy żyła jeszcze matka. Mamusię zabrał Bóg do siebie — o, już dawno — mało nawet pamięta... Rosła przy ojcu, owce pasła na polanie, a ojciec w lesie ścinał drzewo żydowi. Z miasta przynosił żywności, mleka mieli dość. Było im tak dobrze... Kiedy podrosła, ojciec sprzedał owce, mówiąc, że się boi o nią, że sama już paść nie powinna. Dziwila się temu, bo przecie gdy malutka pasła, ojciec się nie bał, pozwalał gnać daleko na polanę, a skoro podrosła... Dziwnem jej się to wydawało. Cóż? musiała słuchać.

Więc w chatce siedziała, a ojciec nadszedł wieczorem z lasu, to się nagadali do woli. I miło im było we dwoje. Ona na jagody wybiegała latem i śpiewom kosów przysłuchiwała się rankiem... Oj, miłe życie było!...

Wtem raz, pamięta dobrze, przywieźli ojca z lasu. Nie mogła poznać; cała twarz krwią zalana. Drzewo przywaliło i zmiażdżyło na śmierć tatusia...

Tu lza stoczyła się perlista i wstrzymała na chwilę latające myśli...

Pamięta — to tak niedawno. Zdaje się jej, że to dopiero wczora. Na widok nieżywego tatusia poczuła okropny ból w sercu... Dawniej nigdy nie doznawała tego uczucia. O! potem poznała i inne...

Ojca zawieźli na cmentarz i wrzucili do dołu... Ludzi było niedużo. Ksiądz nie pokropił „trunny“, jak innym umarłym, nikt też nad grobem nie zaśpiewał. Ona, jak we śnie, patrzyła na to wszystko. Sama nie wie, jak trafiła napowrót do chaty. Siedziała potem sama długo, długo... słonko się parę razy obróciło — czasu nie rachowała... Zdawało się jej ciągle, że tatuś przyjdą z lasu, a tu nikogo nie widać... Poczęła wreszcie wierzyć, że została sama jedna na świecie... Głód wygnął ją z chatki, na robotę. Ot, i wczoraj dopiero wróciła ze wsi; mąki ludzie jej dali i mleka za płacę... To na tydzień wystarczy. Wszak ona

tak mało potrzebuje!... A dla samej jednej — to się i gotować nie chce. Toż maliny są w lesie. Ino że się okropnie cnie... Trzeba do ludzi, koniecznie...

I patrzała w niebo jasne z wyrzutem na swoją dolę samotną... Łzy, jak dwie siostrzyce, spłynęły na ukojenie. Otarła oczy trokiem chusteczki i poczęła nucić pieśń z książki matczynej, którą na pamięć umiała, a i melodję dorobiła sama.

Głos cichy, dźwięczny i czysty płynął skargą przez okienko ku niebu:

*Sierota ja, mocny Boże,
Bez Twojej opieki;
Jeśli mie ta nie wspomóże —
Sierotam na wieki...*

To znowu ufnością się potęgował:

*Choć spoglądasz z tak daleka —
Z wysokiego nieba,
Przecie, patrząc na człowieka,
Wiesz — czego mu trzeba...*

.....

I powtarzała każdą zwrotkę po dwa razy.

Nagle przestała, wychyliła główkę przez okno. Zdalea doleciał do jej przeźroczystych od słońka uszu tętent konia. Zdziwienie przejrzało z jej oczu. Tać to tu nikt nigdy nie zaglądał! Droga wiedzie do lasu, daleko od chatki. Któżby się tluł przez tloki i ugory?...

Nie było to złudzenie. Cień zamajaczył w świetle — i jeździec stanął przed chatką. Dojrzał w okienku twarzączkę dziewczyny, zeskoczył szybko i wszedł do izby. „Na wchodnem“ pochwalili Boga, dziewczyna odpowiedziała. W przybyłym poznała leśniczego ze dworu. Widowała go, nieraz na drodze, gdy przejeżdżał, albo też w lesie przy drzewie. Teraz w jej oczkach malowało się pytanie. Nie mogła z przelatujących myśli dojść, pocoby on tu przyszedł. Przecie nieraz mijał chatę, a nie wstąpił...

Leśniczy zaś, obrzuciwszy wzrokiem wnętrze izbiny, zwrócił się do dziewczyny:

— Ty sama?...

— Sama... Przecie wiecie...

— A wiem. Ojciec zginął...

— Oj tak — i fartuch do ocz podniosła.

— Co robisz?...

— Chodzę do wsi.

— Wystarczy ci na życie?

— Wystarczy... Ale źle, smutno... — Odpowiadała, jak dziecko.

Leśniczy popatrzał na nią. Współzucie widniało z jego pocziwych oczu. Chciał coś wyrzec, zawahał się. Nareszcie począł nieśmiało:

— Do dworu-byś nie poszła?...

Dziewczę pytająco popatrzało na niego.

— No, do dworu — objaśniał — do państwa na służbę. Oni dobrzy. Pokojową panną będziesz...

Pani słyszała o tobie. Przyszyła, by cię zabrać na dochówek...

Dziewczę patrzyło na niego, nie wiedziało, co mówić.

Leśniczy sądził, że nie rozumie. Powtórzył wyraźniej.

— Wiem, wiem... — odpowiedziała dziewczyna i zamyśliła się.

Leśniczy patrzył na nią... Poczł żałować już słów, które wyrzekł.

— Zresztą, jak chcesz...

— Pude do dwora... — powiedziało silnie dziewczę.

— To przyjdź do palacu. Możesz dziś...

— Dziś przyde.

Leśniczy pożegnał ją.

— Z Panem Bogiem — odpowiedziała.

On siadł na konia i ruszył do wsi...

— Szkoda dziewczyny — myślał, jadąc — ładna, to i tem gorzej!... Lepiejby jej tu było. Ha! cóż?... Kazali, trza było. Pan Bóg przecie nie da jej zmarnieć!...

A w chatce dziewczyna myślała z otwartemi oczami. Nad czem?... Bóg raczy wiedzieć. Może nad nowem życiem, którego nie znała... Ciekawością pragnęła go i bała się przecuciem. Oj, bała się!... A nie było nikogo, coby sierocie* doradził.

Wdziała „gopy“¹ na siebie, chustkę narzuciła, wzięła książkę matczyną i wyszła, zamykając drzwi za sobą... Ruszyła ku wsi, do dworu... A słonko w twarz ją biło promieniami, jakby ją chciało wrócić do chatki.

*

Lat sporo uszło od tego czasu... Drogą, która wiodła pod górę, szła kobieta z zawiniątkiem na ręku. Szła chwiejnym krokiem, a regularna, blada twarz o bolesnym wyrazie dziwnie odbijała od jasnego pustkowie... Zboczyła ścieżką na pola i szła dalej po tłokach i ugorach...

Nagle stanęła — obejrzała się dookoła, przetarła dłonią oczy, które rozszerzały się zdziwieniem... Czarny „plac“ i kupa głowni opalonych leżały przed nią. Wpatrzyła się w nie, to znów spojrzła po polu.

— To tu!... o Boże!... — jęknęła głośno. Nogi zadygotały z bólu i osunęła się na kolana.

— Moja chatka! Moja chatka!... — zajęczała, i łkanie bolesne szamotało piersiami... Zawiniątko delikatnie złożyła na ziemi. Chuścinę wiatr odchylił i ukazał maleńką główkę dziecięcia... Zapłakało głośno. Matka znów wzięła, przytuliła je do piersi. Dziecię poczęło ssać pokarm, mrużąc z zadowoleniem, jak małe kocię... Matka odwró-

¹ Gopy = przyodziewek, bielizna wierzchnia.

cila głowę, by lzy nie leciały na twarzyczkę ma-
łaństwa. Lzawe oko posunęła po zgliszczach...
Ile to i jakich pamiątek może zniszczyć lekko-
myślna zabawka! Pasterze, kiedy rozniecali ogień
pod strzechą opuszczonej chaty, ani na chwilkę
nie przypuszczali, że lzy tu kiedyś popłyną tak
obfite, iż ogniskoby mogły zagasić...

Patrzyła kobieta na zgliszcza, i w nich widziała
zagubę wspomnień z młodych lat, widziała znisz-
czoną ostatnią kryjówkę zlej doli... Patrzyła na
dole dzisiejszą, a wspomnienia miłych, choć sie-
rocyh lat ulatywały z pamięci, osłonięte smut-
kiem... Patrzyła na góry, i puste widziała wy-
ręby... Czy wszystko niszczy czas?

Płyńcie lzy smutku, i wspomnień ulatających,
i obawy przerażającej przyszłości!... Nic was nie
ukoi. Ni widok chatki, bo jej nie ma, ni czernia
lasów, owa czarna szata wspomnień z pasterzego
życia, bo ją zdarły ciupagi chłopskie za żydowskie
pieniądze a lekkomyślność pańską, ni ludzie lito-
ściwi, od których podarunek, małaństwo, ssie za-
wiedła pierś, i tak już bólem wyssaną... Płyńcie
lzy sieroco!...

Resztkami wyplakanych łez miejsca wspom-
nień żegnała i ku wsi powlokła chwiejne nogi...
A słonko nie bije ją już w twarz promieniami,
nie wraca napowrót... Oj, mogła wtedy słonka
usłuchać, nie chodzić do dworu na dochówek!...
Taj dochowała się...

ZEMSTA TRUPA

Wchodzimy do dymnej izby góralskiej.
Ściany i powała świecą się, jakby lakierem po-
ciągnięte; to dym sadzami tak je pomalował...
Grube, nieociosane belki poleni dźwigają długie
siągi smrekowych drzew. Piec szeroki z „nolepą”,¹
ławy brudne koło ścian, łyżnik, półka na miski,
konewki do góry dnem przewrócone, „mlynek”²
przy drzwiach i parę niskich stołków — oto cały
sprzęt, jaki się znajduje w piekarni.

Na glinianej, śliskiej ziemi dzieci się bawią
struganiem patyczków; kot, wylizawszy rynek,³
przybliżył się milczkiem ku nim i bawi się ob-
strzępanymi sukienkami.

Przez dym, wypełniający od góry połowę pie-

¹ Nolepa = kawałek pieca, wysunięty naprzód, służy
jak blacha do gotowania. Tylko rozpala się ogień na
wierzchu, garnki stawia się dookoła. Dym idzie prosto
na izbę.

² Mlynek = inaczej żarna, na których się rękami ka-
mień obraca.

³ Rynka = rondel.

karni, widać kobietę, która przykłada na „nolepę“ drew do ognia, to znów przystawia garnek z kapustą i odczerpuje warzechą wodę z żeleźniaka, napelnionego drobnymi ziemniakami.

Kobieta może mieć lat trzydzieści... Twarz szczupła, regularna i dwa czarne, długie warkocze, wysuwające się z pod kraciatej chusteczki, miłe czynią wrażenie, gdy się na nią spojrzeć. Ubrana w „katankę“ i czarną z białymi kropkami spódnicę, wdzięcznie się zwija koło „nolepy“; wiotka i smukła, jak habina, gdy się przechyla ku garnkom.

Przez zadymione okna słonko prościutko pada na dzieci, bawiące się na środku izby, i pozlaca promieniami jasne kędziorki dwojga maleństw.

— Helu!... — ozwała się kobieta od „nolepy“ — nie strugoj patyka, bo sie okalicys, abo sobie drzyzgę wbijes do paluska. Lepi idź, zawołaj taty na obiad, bo juz polednie... No, Helu, słuchos, co ci mówię?...

Jasnowłosa Hela poskoczyła żywo do drzwi otwartych na oścież i wybiegła sienią do pola... Młodszy braciszek począł figlować z kotem, a matka klekła przy „nolepie“ i mówiła „Anioł Pański“, poglądając do garnków, czy który nie „skipi“...

Odmówiwszy modlitwę, wstała i postawiła ławkę na środku izby. Następnie wyjęła miskę z za półki i odcedziwszy ziemniaki, wysypała na

nią; poczem kapustę omaściła „skwarkami“, zgarnęła do ziemniaków i poczęła mieszać łyżką, od dmuchując gorącą parę, która z miski buchała wgórze.

Po skończeniu tej czynności postawiła miskę na środku ławki, wyjęła łyżki i poukladała koło miski. Równocześnie wbiegła zdyszana Hela.

— Poco tak lotos!... — zrobiła jej uwagę matka — ni mozes pomału iść? Jesce sobie ocyka wybijes. Podej stolki!... A tata nie idzie?...

— Idzie... — odezwała się dziewczynka.

W tej chwili dało się słyszeć w sieni ciężkie stąpanie i do izby wszedł dorodny chłop, mało co starszy od kobiety, a rozrosły jak smerek. Rzucił kapelusz w kął na ławę i siadł na stolku... Matka siadła na końcu ławy i podała dzieciom małe drewniane łyżki.

— Helu! zmów pacierz przed jedzeniem... — rzekła do dziewczynki, pociągając ją ku sobie i głaszcząc jasne kędziorki.

— Jee!... — oganiało się dziecko z grymasem.

Chłop, nie patrząc, sięgnął po łyżkę, i począł jeść.

— Widzis, — mówiła mu z wyrzutem kobieta — ty nigdy pacierza nie mówis, to i dzieci sie tak ucą. Hełę teraz musę naganiać do pacierzy, a jak była mniejso, to sie sama garnęła... Jaki ociec — takie syćko.

— Jedz!... — odburknął chłop — i nie godoj.

Dość mom tego trzescenio poza usy. Dziecku dej spokój! jak podrośnie — to sie nauczy...

— Ho! mocny Boze! nauczy sie ta potem, jak za młodu nie przywyknie!... — mówiła, jakby do siebie. — No, Helu!... przegnoj-ze sie chociez i weź łyżkę!...

Hela podniosła leniwie rączkę do czoła:

— Mię Ojca... i Ducha świętego...

— Jakże ty mówis?... — przerwała jej matka i poczęła z nią mówić:

— W Imię Ojca... wyraźnie!... i Syna... na piersi rączkę!... i Ducha...

Kapryśna Hela, która dotąd ledwo wstrzymywała łzy — rozbeczała się przy słowie „i Ducha“ na głos...

— Hela! nie dostaniesz obiadu!... — rzekła surowo matka i odsunęła ją od siebie. Ta jeszcze głośniej poczęła szlochać. Matka wzięła łyżkę i, nie zważając na nią, „obiadowała“ razem z mężem i małym Stefkciem.

Hela, wyplakawszy się, widząc, że to nic nie pomoże, przysunęła się ku ławce, przegnęła potem wyraźnie i spojrziała na matkę nieśmiało.

— Widzisz, ze umiesz... ino wykrety mos zawsze... — Pociągnęła dziewczynkę, ucałowała w główkę i podała jej łyżkę.

Wszyscy pożywali obiad jakiś czas w milczeniu...

— Jest jeszcze co?... — spytał mąż, kładąc łyżkę.

— Są kluski z mlekiem, ale ojcju trzeba zostawić, jak nadejdzie... On inzego ni moze jeść, a kto wie, cy ta ka co dostol...

— Ty ino ojca pasiesz!... — odezwał się gniewnie chłop. — Ociec nic nie robi; mógłby zjeść byle co. A jo się napracuję, narobię, jak nieboskie stworzenie, a tu nika nic!... Djabli z takim zyciem!...

— Ej, Ignac! nie obrozoj Boga! — mitygowała go łagodnie żona — mamy chwala Bogu co jeść, nic nom nie brakuje. A ze robić jest co, to i za to Bogu dzięki; bo jakozby cłek zył bez roboty. Na ojca sie nie pociskoj, bo ni mos o co...

— Oj, Ignac, Ignac!... — mówiła po chwili z łagodnym wyrzutem — proś Boga, żeby nom szczęściól, a nie korol za to, ze ojcju dajes zebrać. Przecię to i grunt jest i cosi kasi, nos jesce mało; przy nosby sie łatwo wyzywiól. Choć to nie mój rodzony ociec, ba twój, alebych mu łyżki strowy nie zazdrościła!... On na stare lata włócyć sie ni moze, a ty go z chalupy wyganios... O lepszego ojca trudno, a ty go tak nie sanujes! Uzbiero co, to ci zaroz daje...

— Bo powinien... — mruknął chłop.

— Powinien, pados?... Toś ty powinien zywić go na starość, kie cie wychowól i oddól grunt. Pamiętaj, zeby sie kiedy włosne dziecko z tohom tak nie obeslo... Pon Bóg litościwy, ale i sprawiedliwy...

— Dość tego!... — krzyknął groźnie mąż — kochań mi tu nie prow nademną!... Cy myślis, że stary piniędzy ni mo?... Ale skąpiec, sknera, woli chodzić po zebraniu, jak se żyć po pańsku z uskładanego grosa. Mnieby teraz trza woly kupić, to nie do...

— Bo ni mo! — zaprzeczyła energicznie żona.

— Musi mieć!... Kaby podziol?!... Ty mi, Nasta, nie godoj! jo wiem, co robię...

— Rób, zeby cie ino Pon Bóg nie skorol...

Trzeba zauważyć, że Ignac w czasie tej rozmowy sięgnął na „nolepę“ po garnek z kluskami i, wlawszy mleka, kończył obiad... Żona nie śmiała mu już robić żadnych uwag.

Teraz wstał, przeciągnął się, aż kości zatrzeszczały mu w stawach i, popatrzawszy ironicznie na żonę, wyszedł z izby.

— Przed wieczorem wrócę od siąg...¹ Ino zamiast kozanio przyrzadz mi lepszą wieczerę!... — rzucił na odchodnym.

Kobieta popatrzyła za nim i westchnęła ciężko do jakiejś myśli; potem, zebrawszy łyżki, wlała wodę na miskę, umyła i poukładała za półką.

— Eħę! jesse cielęciu mom dać wody... — szepnęła do siebie.

— Helu! podej mi cebrzycek!...

Dziewczę skoczyło po naczynie, a matka, zlaw-

¹ Siągi (= przenośnie) miejsce, gdzie się siągi rąbie.

szy „ziemniocorkę“,¹ omaściła mąką i miałką solą i poniosła do stajni...

Mały chłopczyk bawił się z „trusiami“² na środku izby, głaszcząc je po lśniącej sierci.

— Stefciu! zostań... jo tluسيوم przyniesę koni-cyny!... — odezwała się z szepleciem dziewczynka i pobiegła szybko na pole...

Mały Stefek, nie namyślając się długo, przegra-molił się przez wysoki próg i dalejże za siostrzyczką w pole!...

W chałupie nikogo, oboje drzwi na ścieżaj otwarte. Króliki tylko skaczą i gonią się po wilgotnej podłodze. Słonko przechyliło się już z południa i resztkami dłuższych promieni pada na szyby, czerwono-brudne od gęstej sadzy dymu. Roje much latają z garnka na garnek, to biją w okna, a dudnią, jak cały ul trzmieli. Jeden kot spokojny usadowił się na oknie do słonka i przymrużając oczy, udaje, że śpi, a baczy na każdy najmniejszy szmer... Zaszleściło koło okna i cień się złamany przesunął poza szyby... Kot spojrział jednym okiem i znów zasnął: widać nie podejrzanego... W sieni odezwał się ciężki posuwany krok i na progu stanął przychyłony wiekiem starzec... Twarz miał pomarszczoną, zeszlą, o ostrych rysach; wąs biały, szczecinowaty; pod

¹ Ziemniocorka = woda ze ziemniaków (ziemniaczarka).

² Trusie = króliki domowe.

wielkimi siwymi brwiami małe i siwe, przygasłe już, lecz dziwnie miło patrzące oczy... Białe kosmyki włosów wysuwały się na szyję z pod „strzępiatego“ kapelusza. Krótka siwa „chazuka“, koszula brudna, kij i przewieszona lniana torba dopełniały reszty obrazka.

Gdy stanął we drzwiach, obejrzał się po izbie, potrząsnął głową zdziwiony, że nie zastał nikogo i usiadł na progu, a z piersi wypadł cichy, stłumiony jęk, jak brzmienia strun rozstrojonej cymby, kiedy się ją na stole kładzie...

Następnie zdjął kapelusz z głowy, rzucił na ziemię i, przeżegnawszy się powoli, zaczął mówić pacierz; ręce mu opadły, bezwładne, jak drewno... A on patrzył się w okno, do słonka, i wargami poruszał...

Światło matowo-czerwone padało od szyb na łysą głowę dziada, to w półcieniach spadało po kosmykach białych włosów i jeszcze bardziej zbliżało tę pomarszczoną, suchą twarz do żółtej maski trupiej... W dwóch tylko sinych punktach tli się jeszcze życie, ale mdle, jak światło dopalającego się kaganka, i ono wnet zagaśnie...

Tych dwoje siwych oczu pobiegło gdzieś daleko przez czerwone światło szyb: może ze wspomnieniami w dawne lata, a może z pacierzem po promieniach, co łączą oczy ze słonkiem, dalej jeszcze... ku Bogu. Kto wie... Twarz pomarszczona nie zdradzi, a poruszające się machinalnie wargi

moga i wzruszeniem drzeć i głodem... Bóg to raczej wiedzieć.

W sieni, za plecami dziada, stanęła kobieta.

— A, to wy tatusiu!...

— Jo... dziecko... jo... — rzekł starzec drżącym, słabym głosem i zwrócił głowę ku niej, a widząc, że stoi z cebrzykiem i nie może przejść koło niego do izby „zgrotał się“¹ powoli i powlókł ku ławie pod okno... Kobieta weszła, postawiła cebrzyk w kącie.

— Chce sie wom jeść, tatusiu?... — spytała pieśczośliwie, całując dziada w rękę.

— E nie, Nastuś... nie... ino tu boli... — wskazał ręką na piersi — tu, tak dusno...

— O lo Boga!... — lamentowała kobieta — trza przecie co radzić...

— E, nie trza... nie... nic nie pomoze... — Łzy zaświeciły mu w oczach i stoczyły się powoli, jak ziarnka, po zaschłej twarzy.

— Przecie moze jesse nie tak źle... — mówiła Nastka przez łzy.

— O nie... nie... — wyjęczał stary i objął łagodnie głowę synowej.

— Tatusiu, moze sie polozycie?... Pościelę wom w izdebce...

— Dobrze, dobrze, dzicie... — Wzięła starego pod rękę i przeprowadziła do izdebki.

¹ Zgrotać się = zgramolić się (zebrać się powoli).

— O, tu wam będzie dobrze...

— Bedzie, bedzie... — szeptał stary.

Synowa przeniosła na jedno łóżko dwa „zogłówki“ i pierzynę.

— No... legnijcie, tatusiu!... Przespijcie się... a może się mleka przedtem napijecie?...

— O nie, nie... — oganiał się stary. Popatrzył na synowę mile.

— Tyś dobre dziecko... — począł szukać drżącą ręką w zanadrzu. Wyjął zawiniątko, podał jej.

— Naści... przydo ci się... — Nastka cofnęła rękę.

— Schowajcie se, tatusiu... wam się prędy przydo...

— E, mnie już nie trza, nie;... schowaj.

Kobieta wzięła zawiniątko, podniosła wieko skrzyni i wrzuciła... Stary się przeżegnał powoli i położył na łóżku. Synowa wzięła pierzynę, by go przykryć.

— Dej pokój... — powtórzył — niech ci Bóg... — i wzruszenie, czy osłabienie nie pozwoliło mu dokończyć. Przymrużył oczy...

Nastka w przekonaniu, że usnął, wyszła cicho do piekarni...

Równocześnie dzieci wpadły z hałasem do sieni.

— Cicho!... — szepnęła matka dobitnie — dzia-
dek spi w izdebce...

— Spi?... — zatrwożyły się dzieci i natychmiast się uciszyły.

Hela rzuciła trusiom po szczypcie koniczyny na podłogę, a Stefek głaskał je po miękkiej sierści.

— Jedzą tlusie, — mówił ze śmiechem do matki — jak się im usy trzęsa!...

— Dobrze, dobrze — rzekła matka — ino cicho!...

Siadła na ławie, przysunęła koszyk ze ziemniakami i poczęła skrobać i rzucać oskrobane do „cebrzycka“, po obrączki napełnionego wodą...

Tymczasem w izdebce dziadek spał... Ciężki oddech mieszał się naprzemian z regularnym chodem staroświeckiego zegara. Tętno serca starego i chód miarowy zegara wyprzedzały się, to mijały, jakby walczyły z sobą o pierwszeństwo; wreszcie zwyciężył flegmatyczny zegar, — i oddech ustał zupełnie...

W izbie słychać tylko było uderzenia miarowe zegara... Czasem mysz zaszeleści za piecem, to znów robak odezwie się wierceniem w ścianie — i znowu to samo miarowe, jednostajne: tik, tak...

Bohomazy patrzą się ze ścian bezmyślnie... Ich twarze, zbliżone do siebie podobieństwem niepodobieństwa, uśmiechają się głupowato, to smucą, podług tego, jak im kazał pędzlista, czy farbciarz.

W piekarni zaś kobieta skrobie ziemniaki, a myśli jej latają, Bóg wie, za czym... Twarz tylko zdradza tę podróż myśli, bo się rozjaśnia, to

schmurza. Ot, i teraz — dwie łzy stoczyły się po gładkiem licu i padły na twarz chłopczyny, który zasnął na podolku matki... Hela gdzieś lata po polu, ani się nawinie do izby! Ot, jak zwykle dzieciska.

Nagle kobieta, tknięta jakąś myślą, osunęła leciuchno chłopca na ławę i wysunęła się do izdebki. Wchodząc, cicho otwierała drzwi, by starego nie zbudzić.

Podeszła bosą nogą do łóżka i nachyliła się nad twarzą śpiącego. Długo stała i patrzyła w milczeniu, a oczy jej rozszerzały się powoli, przerażeniem...

Stary spi, a oddechu nie słyszać... Serce jej uderzyło gwałtownie. Wzięła ojca za rękę — ręka bezwładna, sztywna, jak drewno...

— O Jezu!... — wyszeptala kobieta i osunęła się na kolana przy łóżku. Jeszcze nie chciała wierzyć. Dłonią pomacała twarz starca — twarz zimna, oczy przymknięte; tylko usta rozchylone, jak brama, którą ulatuje dusza z ostatniem tchnieniem.

— O Jezu!... — zajęczała głośnie, oparła twarz o krawędź i długo rzewnie płakała... Potem poczęła szeptać pacierz — za umarłych... Modlitwa uspokoiła ją. Podniosła się zwolna i chwiejnym krokiem przeszła do piekarni. Tu nikogo — tylko chłopczyna spi pod oknem na ławie, uśmiechnięty, jasny...

Stała chwilę na środku izby, nie wiedząc narazie, co robić. — Iść po ludzi nie można, bo daleko do chałup, a tu wieczór na ramieniu!... Zresztą — jakże tak chałupę odejść! Żeby choć Ignac przyszedł!... — i tym podobne myśli przebiegały jej po głowie...

Wreszcie namyśliła się krótko, fartuszkem lzy otarła, które jej zaschły na licu, i przeszła znów do izdebki... Tu otworzyła skrzynię i poczęła wyciągać bieliznę i koszulę, „plóciutki“ lniane i inne drobiazgi. Rzeczy te poukładała na ławce, podeszła ku łóżku i poczęła delikatnie ściągać lachmany starego... Czynność ta nie była łatwą, bo już trup drewniał... Pomogły jej zaś zręczność i poświęcenie...

W krótkim przeciągu czasu rozebrała nieboszczyka i ubrała w czystą bieliznę. Następnie przykryła go nowem prześcieradłem, złożyła ręce na piersi, wzięła ze stołu krzyżyk i włożyła w dłonie umarłego. Po tej czynności klękała przy łóżku, odmówiła jeszcze krótką modlitwę, westchnęła ciężko, wstała — i przeszła do piekarni, do zajęć gospodarczych...

Zmierzchno się już zupełnie. Przy zorzy, padającej z okna, wyplukała ziemniaki i „wsuła“ do garnka. Miała się wziąć do zapalania, kiedy wszedł mąż...

— To jescie nie polis na wieczerzę?! E, cożes ty u djabłów robiła?... — krzyknął groźnie od progu.

Kobieta drgnęła na te słowa.

— Nie godoj!... — odrzekła. — Tatuś umarli... — i zaplakala głośno.

— Co? ociec umar? pados... Kaz lezy?... — spytał łagodnie.

— W izdebce...

— W izdebce?... e, pocześ go tam zanieś!... —

— Som posed... idź... zmów pocierz.

Chłop się poruszył. Kobieta jeszcze zwróciła się ku niemu.

— Ignac! nie bądź markotny!... Odziolach nieboscyka w twoją bieliznę...

— Co?!... — krzyknął głośno.

— Przecież trudno go było w lachmanach zostawić... — usprawiedliwiała się.

— A niech cie!... — niedokończył przekleństwa. — Gotuj prędko wiecerzę!...

Sam poszedł do izdebki... Ciemno było zupełnie. Błada „zarza“ biła o szyby... Ignac otworzył szafę, wyjął świecę, zapalił i postawił ją na stole. Na łóżku zobaczył nieboszczyka... Światło świecy padalo z boku na niego — i zdawało się, że śpi — takim łagodnym wyrazem błyszczała poźółkła twarz.

Ignac rzucił się ku lachmanom i zaczął je gorączkowo przerzucać... Przetrzęsnał wszystkie kieszenie, obmacał szwy; śnać nie znalazł, czego szukał, bo się skrzywił i spojrzal na trupa...

— Musiołeś kasi inedy piniądze schować. Zol

ci było dać synowi — rzekł z urąganiem i postąpił ku łóżku.

— A to wścieklina baba!... Nowiutką kosulę mu wdzioła. Cóż jo będę miał do kościoła?... Umarlemu co to wystarczy...

Z temi słowy wyciągnął rękę do trupa, wyjął krzyżyk z jego dłoni, rzucił na stół — następnie chwycił rękaw, by ściągnąć koszulę z ojca-nieboszczyka...

Dziwnym przypadkiem — dłoń swoją zaplątał między palce umarłego... I stała się straszna rzecz. Palce nieboszczyka zwały się i objęły dłoń Ignaca żelaznymi kleszczami... Syn wydał okropny ryk z przerażenia i strachu — i padł bez duszy przy trupie ojca...

.

Na trzeci dzień był jeden pogrzeb dla ojca i syna. Pochowano ich w jednej szerokiej trumnie... Ojciec nie puścił syna... Rozłączeni za życia — w mogile spali razem. I było im dobrze. Robactwo nie klóciło się o ich ciała...

NA WYDANIU

Chatka była pod lasem nieduża — gontem kryta, jak zwyczajnie chaty... W chacie mieszkał gazda niebogaty; przy nim żona i córka Różia... Dziewczę miało lat szesnaście może, choć jej ludzie liczyli coś więcej — dość, że zrosła ponad wiek dziecięcy i, jak dziewczka, umiała żąć zboże, zbierać trawę dla bydła w wyrębie, bielić latem na kamieńcu płótno... Była smukła i ładna „na gębie“, ale zawsze była jakaś smutna... Przecież znała cudną swą urodę — bo się nieraz zapatrzyła w wodę i czytała w tem zwierciadle jasnym o swych oczach i o licu krasnym... Czemuż jednak smutną była — czemu?... Ludzie po wsi mówią rozmaicie — każdy jednak sądzi „po swemu“, a najwierniej opowiada życie

Raz, pod wieczór, stary Wojciech powrócił z żoną z jarmarku. Różia w czasie ich nieobecności napasła krowy, podoiła — i właśnie miała

się zabierać do „skrobania“ na wieczerzę, kiedy starzy weszli do izby...

— Niech będzie pochwolony!...

— Na wieki... Tak wos długo nie widać... — ucałowała rodziców w ręce.

— No, jużeś nagotowała?...

— E, ka ta... telo roboty. To to, to owo się zrobiło i tak dzień wnetki śleci... — usprawiedliwiała się Różia.

Ojciec tymczasem wyciągał z rękawa „chazuki“ pokupione drobiazgi, jak: sól, łaty na kerpce etc. Kobieta zdejmowała wierzchnie spodnice i „katanki“, i wieszala je rzędem na „zyrdce“.

Różia wrzuciła oskrobane ziemniaki do garnka, nakładła suchych drew na „nolepę“ i podpaliła chrustem... Płomień buchnął do góry i oświecił czerniałe czeluście. Dym kłębił się koło „połeni“ i okiennicą pchał się na strych, lub schylał do niskich odrzwi, chyłkiem wychodząc do sieni.

Drwa były suche, ogień się napalił spory, „wnetki“ też wieczerza była gotowa. Wszystko troje obsiedli miskę i spożywali „dor boski...“ Jedli jakiś czas w milczeniu, odmuchując gorące ziemniaki, gdy matka, spoglądając na córkę — odezwała się „niby od niechcenia“:

— Walek sie nos pytał o cię na jarmarku...

Różia spojrziała na matkę, zrozumiała dobrze to zagadnienie, nie jednak nie odrzekła... Myśl tylko jakaś niemila chwilę stanęła jej w umy-

śle, bo czoło nerwowo ściągnęło się faldami, a oczy jaśniej zaświeciły...

— Przysed ku nom — hej!... wołół nos na wino, ale sie nom spiesyło do chałupy... — mówiła dalej matka, oczekując od córki jakiego słowa. Ale Rózia milczała uparcie...

— Mówił, ze tu zażry kie do nos ze strykiem i pogodo nieco jaśni... A ty co na to?... — spytała córki wprost, widząc, że ta jej nie słucha. — Przystalabyś na niego?...

— E, róbcie, jak chcecie!... — odpowiedziała niechętnie córka.

— Dyc nie ten, to ten, ale zawse kogosi przyjąć trzeba — odezwał się po chwili ojciec. — Jo juz robić nie zdołę, a tu zawdy trza cosi koło chałupy ździupierzyć.¹ Jak nie obrobis gruntu — to sie tyz nicego nie spodziewoj!... Ho! Mocny Boze! zeby jo se doł rady, toby jo jesse o nikim nie myśłół. Dyc nom dobrze, pokiela my sami... Przydzie zięć — to, wto wie, jaki bedzie!... Cy cie usłuchnie, abo co... Przeżrys to cleka odrazu? No, ale cóz — kie clek se juz nie poradzi. Gwołtem trzeba kogosi przyjąć!...

Tak sobie ojciec „labiedziół“, a córka słuchała i żalóść wielka ścisłała jej serce... — Dyc prawda — ze wcesni cy późni musi wyjść za kogo... Od niej rodzice spodziewają się pociechy jakiej

¹ Zdziupierzyć = zrobić coś koło chałupy.

na starość. Dyc robić nimo kto — duchem by się zdało iść za mąż... Ale coż — kie ij rają syćkich, ino nie tego, kogoby ona chciała.

Wstali od wieczerzy i każde jęło się „jakiesi roboty...“ Kiedy już Rózia posprzątała po izbie, a rodzice mieli iść spać, ona ucałowała rękę matce i ojcu i odezwała się z prośbą w głosie:

— Kie juz tak koniecznie mom iść za kogo — to mie tyz dajcie za Jadzynego Wojtka... Mój tatusiu!...

— Hej, za Jadzynego Wojtka?... E, coż se ty mos w głowie?... Przyniesie on mi co do chałupy — abo co?... U nich przecię bieda krośetno, zeby siekierom nie ucion!... Ani mi o nim nie wspominoj!...

— Przecię i my ni momy wiela... — ośmieliła się zauważyć córka.

— Co? ni momy wiela?... To trza, zeby było więcy!... Jak przydzie zięć z piniądzmi — to pola dokupi i bedzie... A na coż jo cie chował, zebych z ciebie ni miół zodnego skrzepienio na starość!... O Wojtku ani myśluj!...

— Hej! — potwierdziła żona.

— Nie tacy sie trafiają... — kończył ojciec. — Jak widzą ludzi porządnych, ućciwych, to sie zewsząd garną!... Jantek od Majerza obiecował pięć stówek. A Walek pedziół dziś na jarmarku, ze mu ociec do i siedem... A Wojtek coż mo? Ani stówki nie uzgarnuje!... Toby mi był zięć!...

— On pracowity — to sie dorobi... — bronila Rózia.

— Ho! dorobi sie ta, jak nimo z cego!... Dyc i jo pracowol przez telo lot, a coz mom?... To, co i przedtem... Podobo ci sie, ze na tworzy gladki. I gladkości niedlugo, moje dziecię. Przyjdzie niescęcie, chorość — i juz po ni. Zreštom i Walkowi nic nie brakuje!... Jest se chłop, jak sie patrzy.

— O, nie wybieroj Róziu!... — ozwała się matka. — Dobrze, ze mos z cego wybierać. Myślis, ze oni się o ciebie dobijają?... Jakbyś gruntu ni miała, toby sie tu zoden nie obróciól!... To nie downe casy — kie patrzeli jesce na urodę. Dziś ladajaki trzop wyjdzie za chłopa, jak ino mo pole i chalupę. A ladne dziewczki siedzą za piecem, ze ni mają piniędzy. Dziś ludzie ino na stówki patrzą.

— Wojtek sie ta zaś na grunt, ani na stówki nie oglądo!... — zaprzeczyła córka.

— Bo som nic ni mo!... — odparł ojciec. — Jakby miol, toby ci sie nie zalecol!...

— Zaś ta nie godojcie!...

— Ty nie godoj nic, ino sluchoj, jak ci ojcowie kaza! Ty nos nie przemądrzaj, bo my dluzy na świat patrzeli!... Przecię kazdy ociec z duse by rod jak nolepi lo swego dziecka... Ino sluchoj rodziców, nie swoje wóle, zebyś sie kiedy nie spazryła! A padom ci naprzód, jak przydzie Walek

ze strykiem na nomowiny,¹ — zebyś nie pokazowała zodne niechęci!...

Rózia już nie się nie odezwała, nie chcąc przeciągać dłużej przykrej rozmowy. Rodzice też zabierali się do spoczynku. Więc i ona rozczesala długie, jasno-łniane włosy, związała je tasiemką i zmówiwszy pacierz, weszła do łóżka...

Myśli przykre majaczyły jej po głowie. Chciała do snu myślą przywołać przed oczy Wojtusia — jakiś zły duch podstawał jej przed wyobraźnią obrzękłą twarz Walka... Wreszcie bolesne jakies uczucie wyparło lzy do ocz ze serca; owinęła głowę poduszką i szlochała długo... długo — aż sen przyjaciel lekkimi objął ją ramiony i ukołysał...

Na drugi dzień, ledwo wyszło słonko — Rózia zerwała się z posłania i owinawszy się białą chustką, wybiegła do wyrębu — na maliny... Zanim matka śniadanie zgotuje, ona nazbiera pelny dzbanek czerwonych jagód.

Ranek był przesliczny... Słonko ledwo wytoczyło się koleem na szczyty pobliskich gór, jasno-różowe, a już zajrzało do wszystkich chalup, o wodę szumiącą potoków uderzyło promieniami i „skrzystalilo“ wszystkie krople, lecące z wysokich skal... Ranek był wspaniały.

¹ Nomowiny = zrękowiny. Zwykle jakiś opiekun, stryk albo wuj przychodzi do domu dziewczyny z chłopcem, który chce się z nią żenić. Tu kładzie warunki, namawia — stąd „nomowiny“.

Lasy rozodziewały się z lekkiej mgły nocnej i poczęły występować rozmaitemi kolorami drzew: buków jasnych, zielonych jodeł i czarnych smreków... Ciemniejsze smugi niższych ostępów łamią światło, jak fałdy podłużne na ciemnozielonej sukni.

Ranek cudowny był... Równo-zieloną trawą jaśnieją aksamitnie polany, odbijając żywo od ciemnego tła wyębów... Baca też brudny wychylił okopconą twarz z niskiej koleby, pozierając ciekawie ku wyębom, „ka tyz ta owcorze pasą — haj!...” Owcarzy nie dojrzał — musieli dalej pognać... Ale dojrzał dwie sarny, pasące się na skraju swobodnie, i dojrzał jeszcze kudłaty ogon lisa, który „milckiem zemknął w krzoki...”

Baca wyszedł przed kolebę, „ciby¹ tyz jako ka jesce owiecek nie dożreć...” Ale wyęby puste, jak okiem sięgnąć — jeno ponad „wiersyckiem“ kołuje poważnie „oreł królewski — haj!...”

Potokiem woda huczy, spadając pianą po śliskich skalach, a pod jazami² na bajorach srebrnoluskie pstrągi rzucają się błyskawicznie szybko, kreśląc raz po raz ogniste smugi po powierzchni...

Ponad potok ścieżka wąska prowadzi ku wyęb-

¹ Ciby = wymawia się bez miękczenia.

² Jaz = pomost rzucony na wodę z całych, wykarczowanych drzew. Pod jazem zwykle głębia wody, „bajorem“ zwana.

bom... Ścieżyną, w śmiałych i swobodnych podrygach, kroczy dziewczę lnianowłose. Białą chustkę przez ramię rzuciło — lekki podmuch igra z nią po powietrzu, to jasne włosy podrzuca i rozplata; a dziewczyna, z dzbankiem w ręce, stąpa lekko, ledwo ziemi dotykając palcami... A co się nad wodą nachyli, to widać w zwierciadle boginę leśną o jasnych kosach, białej szacie i smukłej kibici. Woda, figlarne lustro — odzwierciadla prawdę.

Las już był blisko. Dopadła kładki, powietrzem, zwinnie, jak kozica dzika, przebiegła po niej i zagłębiła się w leśnej ścieżynie... Ktoby patrzył, toby mu się zdało, że widziadło zobaczył senne, które rzeczywistość lasu rozwiała mu z przed oczu...

Niebawem po drzewach płynął, szeleścił i leciał dalej dźwięczny głos piosenki, którą liście liściom wiernie powtarzały:

*Nie dała mi matuleńka
Za próg wyczierać —
Ale miski myć kazata,
Garnki wycierać...
Hej! garnki wycierać...*

*Moja matuś — moja droga,
Robić nie kazuj!
Na Halusię — na rączusie
Przecię uwazuj...
Hej! przecię uwazuj...*

Ostatnie słowa dwa razy obily się o przeciwległą górę — i nim jeszcze echem zdołały powrócić napowrót — już nowe zadźwięczały zgłoski:

Uzaliła się mateńka

Rączek Haliny:

Włóż wianusek — weź dzbanusek,

Idź na maliny!

Hej! idź na maliny...

Dziewczyna wybiegła z lasu i szła dalej polaną ku wyrębom, kończąc zaczęłą piosenkę:

Niedalecko poza borem

Hej!... poza sosną —

Duże krzaki, maliniaki —

Maliny rosna...

Hej!... maliny rosna...

Poskoczyła szybciej, widząc już zdaleka krzaki, obwieszone czerwonymi jagodami. Zmęczona, ciszej już nieco, zanuciła ostatnią zwrotkę:

Córuś moja! przynieś malin

Pełny dzbanusek —

Ino musisz uważać

Na swój wianusek!...

Hej!... na swój wianusek!

Chyżo rzuciła się ku maliniakom, obrywając paluszkami kraśne jagody i rzucając po garści do dzbana...

Wnet napelniła malinami naczynie; z okopistej pełni staczały się jagody na ziemię... Odetchnęła chwilę, usiadłszy na spróchniałej kłodzie. Patrzała nadół, gdzie potok huczał wartki — i myśli jej chyżo płynęły, jak rwąca fala potoku. Patrzała w las przeciwległy — i głębokie cienie starych jodeł i buków przytrzymały jej oko, w którym, jak w lesie, głębia smutku się rozścieliła... Patrzała na te posępne piękna czarownego widnokregu, który szczytami gór z niebem się zlewa, — i dziwnie rozkoszne uczucie, mieszane smutkiem duszy, rozpięrało jej piersi, falując za lekką przezroczą cienkiej koszulki... Usta się rozchyliły, jak dwie blisko siebie wiszące na krzaczku maliny...

W chwilach podobnie czarownych — dzieci ludu słów boją się użyć na wyrażenie swego podziwu dla piękna, które czują... Wówczas pieśnią się posługują, jako mową wyższą, niecodzienną...

A pieśń ta zwykle łączy w sobie i hymn dla piękna natury i własne uczucie śpiewaka, zestawione w prostym, a rzewnym porównaniu.

Dziewczyna siedząca na kłodzie patrzyła na piękno, czuła je w duszy, a własny jej smutek przyjaźnił się z posępnymi kolorami otoczenia... Myśli nuciły jakies dla jej serca dosłyszalne tylko melodje, które urywanymi, tęsknymi zwrotkami popłynęły dźwięcznym głosem ku liściom, wiszącym nad jej głową:

*Bukowe listeczki zwiesiły się w dole —
Pozierają smutnie na moją niedolę...
Oj! na moją niedolę...*

*Wietrzycek liśćmi po konarach suści —
Zalós, moja zalós już mie nie opuści...
Oj! już mie nie opuści...*

Dziewiczka skargą leciała po drzewach na równiane łęgi i topiła się w szumie potoku...

— Oj, trza wracać... — szepnęła, otrząsnawszy się z dumań. I pochwywszy dzbanuszek, zbiegła wartko na polanę i swobodnie, jak sarna leśna, stąpała wydeptanym chodnikiem wśród trawy „suszącej“ i karłowatych jałowców... Na pożegnanie milej polanie zaśpiewała jeszcze znaną piosenkę:

*Ej... jak se jo zaśpiewom na środku polany —
Ej — to mi sie odezwij w kościele organy!...*

A echo niesło czystą melodję i grało wysokimi tonami organowemi po bukowym lesie...

Schodząc już ku potokowi, dziewczyna zanuciła jeszcze:

*Zebych jo wiedziała, kany mój jedyny —
Zaniestaby jo mu słodziutkie maliny...*

Nagle z przeciwnej strony potoka ozwał się na odpowiedź silny, męski głos:

*Słodziutkie maliny — słodse twe ustecka...
Przynies-ze mi przynies — moja kochanecka!...*

Dziewczyna różmiała się na głos i przebiegła szybko po kładce na drugą stronę...

Przed nią stał, z kosą na ramieniu, dorodny chłopak, o smagławej twarzy i czarnych oczach, jak głębia potoku.

Patrzeli oboje na siebie, uśmiechając się mile...

— Byłaś na maliny?... — spytał chłopak.

— Ehe!... — a ty dokąd?...

— Na polanę — kosić...

— Naści malin... — i chciała usypać mu ze dzbanka.

— Bóg zapłać!... Zanieś matusi. Jo idę w las — to se uzbierom...

— Bedzies to miał cas, kiedy siecenie?...¹

— Choćby przed południem — to skoceę do wrębu...

Milczeli oboje chwilę i patrzeli na siebie z uśmiechem.

— Dawnoch cie nie widziol!... — ozwał się chłopak.

— Edyc tak, Wojtuś!... Nie pozwalają sie mi nika rusyc z chalupy... Boją sie o mnie — cy co... Zreśtą powiedziałabych ci cosi...

— No?... powiedz...

¹ Siecenie = kośba.

— Kie cie sie boję ozmarkocić...¹ — i wesola dotąd jej twarzyczka powlokła się smutkiem.

— Powiedz!... Róziu... — prosił chłopak, ujmując ją za rękę.

— Dyc ci powiem. Ojcowie wcora przyšli z jarmarku i zaczęli mi raić Walka — wies, tego od Grzędę... Pedzieli, ze mo przyść ze strykiem na nomowiny.

— No — a tyś co na to?...

— Prosiłach tatusia, zeby ciebie przyjęli...

— A ociec?...

— Nie doł se ani w myśli przytykać!... Pedziol tatus, ze ni mos nic, to cie nigdy nie przyjmą za zięcia... — i rozplakała się dziewczyna tak rzewnie, boleśnie, że aż Wojtkowi lzy się zakręciły w oczach.

— Dyc nie plac... — rzekł, obejmując ją lekko w pól. — Nie tak znowu strasnie, jak ci sie zdaje. Ociec sie do udobruchać... Mnie przecię ni mo nic do zarzuceniol!...

— Coz, kie tatus patrzą na bogatego zięcia... — mówilo dziewczę przez lzy.

— Ha! Mocny Bozel! — zawolał chłopak. — Coz jo temu winien, ze ni mom gruntu?... Dyc przecię pracuję.

— Coz poradzis, kie tako wólo ojca... — smutnie, wąpiąco zagadnęła Rózia.

— Co?! — zakrzyknął silnie chłopak. — Pudę ka na zorobek... Przecię świat syroki! Za pól roku, za rok zdolę zarobić telo, co twój tatuś chcą. Wtedy przecię nie odmówią mi ciebie!... A ty, Róziu, bedzies cekać na mnie?...

— Bedę!... — odpowiedziało silnie dziewczę.

— A jakby ci sie trafiól kto lepsy ... — spytał z drzeniem w głosie.

— Lepsy mi sie nie trafi... a choćby był bogatsy — to i coz z tego? Bogactwa nie potrzebuje. Za ciebie pudę — za nikogo więcy!...

— Jo o tobie i we świecie nie zapomnę! — zawolał chłopak z uczuciem.

— Nie zapomnij... — szepnęło dziewczę i przytuliło się do niego.

Ucałowali się serdecznie, aż im ptaki odezwały się w gęstwinie...

— Użrę cie jesse przed odjazdem? — spytało dziewczę na odchodnem.

— Przydę do ciebie za potok, ka siano grabicie.

— Przydź!...

I szybko pomknęła łegiem ku chacie, bo też już i słonko podniosło się wysoko. Matusia śniadanie pewno już dawno zgotowała!...

Wojtuś oglądnał się jeszcze parę razy za nią, idąc na polanę, gdzie szereg kosiarzy uginal się regularnie nad równą, suchą trawą...

Nastał wieczór... Lasy utonęły w mroku ciem-

¹ Ozmarkocić = zasmucić (z czyjej winy).

nym, potok owinał się „srezogą...“¹ Kosiarze wracali z lasu, a pasterze spędzali woły, odzywając się po lesie rozmaitemi głosami — to krzykiem spragnionej wiecznie kani, to stłumionem „holokaniem“ leśnych puhaczy... Mrok wyganiał ludzi z polan — od sianograbia... Wszystko ciągnęło roztołą ku wsi — do chałup...

I w pustej za dnia chacie pod lasem ożywiło się wieczorem. Różia i ojcowie wrócili z polany, by się wieczszą pokrzepić, snem odpocząć i nabrać sił do jutrzejszej roboty... Tak bywa codzień... Ludzie tylko myślą, co na jutro, na pojutrze... Do przeszłości któżby się zwracał?

Ludzie biedni tylko w przyszłość patrzą; bieda im każe naprzód oczy obracać, z czego żyć, w co się odziać jutro, pojutrze — i tam dalej... Ludzie zabezpieczeni od myślenia o swoim bycie łatwiej mogą myślać w przeszłości postać i łatwiej traścić czas na przeżuwanie wspomnień, albo żyć tylko wrażeniami terażniejszości.

I w chatce pod lasem o przeszłości nie było co myśleć. Była ona taka jak i terażniejszość, a może ciemniejsza. Z przyszłości żąda się zawsze światła, rozjaśnienia mizernego życia... Czy to już jest w naturze, żeby za ciemniami światła się dopatrywać?...

Ledwo ludzie weszli do chałupy — a zaludniła

¹ Srezoga = lekka mgła.

się izba i gospodarczą krzątanicą zapelniła małą swą przestrzeń... Łuczywo zabłysło na nalepie i przycienionem światłem strzeliło na izbę... Ojciec począł ciupać cotynę¹ na podściółkę pod bydło. Różia z matką siadły do „skrobania“ ziemniaków, — gdy się drzwi otwarły i na progu ukazał się suchy, wysoki człeczyna w podeszłym wieku. Za nim jakiś cień drugi w sieni zamajaczył.

— Niech będzie pochwołony!... — ozwał się przybyły piskliwie syczącym głosem.

— Na wieki!... — odpowiedział gazda i uchylił „gnot“ ze środka izby, na którym ciupał cetynę.

— Podźciez haw, kumie, dalij — siadźcie!... — zapraszał przychodnia.

— Edyc, moiściewy, przeprosom piknie — ciągnął sycząco gość — bo jo tu nie som. Jes nos tu więcy... Hej!...

— Je, ktoz ta taki z wami?... — zapytała mile gospodyni, odwracając głowę ku drzwiom.

Przybyły posunął się naprzód, a „wte razy“ wszedł za nim młody, barczysty chłop o twarzy okrągłej, wygolonej i nabrzęklej nieco. Szybko posunął do gazdy i „gażdżine“ i oblapił ich za kolana. Różia niechętnie wyciągnęła rękę na powitanie.

¹ Cotyna = cetyna, gałęzie drzew szpilkowych.

— Jakże sie mos, Waluś?... — powitała go radośnie gaździna.

— E, tak ta — chwala Bogu... — odpowiedział i usiadł na niskiej ławie.

Chwilkę milczeli wszyscy, czekając, które najpierw zacznie. Goście chrząkali, to pozierali na siebie — wreszcie powstał stary i począł uroczyste:

— Wiadomo wam, zacni kumotrowie, poco my przyszli... Na jarmarku Walek wspominoł. Prowda? — zwrócił się do siedzącego.

— Prowda!... stryku — odrzekł tenże.

— Zatem rzeksy, jak przystoi — syczał cienko kum, „strykem“ nazwany — przystępuje prosto do oracyje, coby syćko odrazu wyjośnić...

Rózia, dorozumiewając się o co chodzi, znalazła jakiś pilny interes i wybiegła do izdebki.¹

„Stryk“ wyciągnął tymczasem „graniatówkę“ z rękawa, z kieszeni „serdocka“ wyjął kieliszek — i przypił czerwonym płynem do gospodarza, który siadł naprzeciw na „gnocie“.

— Na zdrowie!... kumie...

— Dej wom Boze — jak nodłuzy!

Kolejka przeszła szybko.

¹ Izdebka = świetlica. Dom składa się zazwyczaj z dwóch izb: jedna — piekarnia, druga — izdebka, gdzie ściany obwieszane obrazami, i zazwyczaj wapnem bielone. W biedniejszych domach jest tylko piekarnia.

— Kasi¹ sie Rózia podziała... — zauważył Walek. — Zawołojciez je, matusiu, niech sie z nami napije.

— Róziu!... — podniosła głos matka — pódźino!...

Ale Rózia nie „usłuchła“ tą razą.

— Otoć tak, moi kochani — ciągnął pompatycznie „stryk“ — jak sie wom nie widzi markotno, to przyjmijcie Walka do chałupy... Przystępuje prosto, bo casu nima na długie godania. A zresztem i krótko to samo sie powie, coby tyz i nodłuzy godoł. Dyć Walka znocie — wiecie, ze je przecie pracowity, nie lumpok zoden, to sie go nie obowiojcie!... Golego nie przyjmiecie, bo bedzie miol siedem stówek cystych, a przyodziewku i norzędzi gospodarskich tyz mu nie zabraknie... W zostępstwie ojca wom to orenduję i ufom, ze przecie ozwozycie se w głowie i odpowiecie jako przychylnie...

Tu skończył i spojrzal pytająco po obojgu. Walek też, szturknięty łokciem przez stryka, skoczył do kolan ojca i matki.

— Dyć mie tyz przyjmijcie, tatusiu — i wy matuś...

Ojcowie zdawali się namyślać, choć oboje mieli odpowiedź na końcu języka. Po chwili, niby po długiej rozwadze, odezwał się na to ojciec:

¹ Kasi = gdziesi, ka = gdzie (na Podkarpaciu), kany = gdzie, dokąd.

— E, dy my tu juz myśleli... Bo zięcia końcem przyjąć trzeba. Ale to tak cłek — zycanie wiecie — i pobowio sie trochę i uwazuje, coby sie tyz nie sparzól... Walkowi — nic nie powiem — chłopok odpowiedni. Ale mi sie to mało widzi — ino siedem sto...

Tu znów powstał „stryk“ i począł się rozwodzić: że „nikt im więcy nie przyniesie, — ze przecię siedem sto — to piniądz nie ladajaki“ — i długą a dosadną mową uspokoił nieco oponującego niby ojca. Matka przytem zachowywała się biernie, a o Rózię nikt się nie spytał, jakby tu chodziło nie o jej wolność osobistą, nie o nią samą... Targowali się o nią, jakby o jakie „nieprzymierzając“ bydłę, którego się właściciel o zdanie nie pyta — czy chce być sprzedanem lub nie...

Gadali jeszcze długo na ten temat, — rozwodzili się o gospodarstwie, o chudobie, o przychówku, aż wreszcie, ogadawszy całą sprawę ze wszystkich możliwych stron, poczęli się goście żegnać.

Walek „oblapiól“¹ szerokim kapeluszem parę razy tatusia i matusię na pożegnanie i wyszedł za „strykiem“, który „Ostańcie z Bogiem!“ rzucił

¹ Oblapić = obejmować za kolana. Dawny zwyczaj powitań i żegnań młodych, gdy schylając się do kolan starszych, okazują im swe poważanie. Dziś ten zwyczaj zatraca się.

sycząco jeszcze ze sieni... I tak się skończyły „nomowiny“.

Tych „nomowin“ było jeszcze parę; bo Rózia ani wspominać sobie o Walku nie dała. Zawsze bierna, posłuszna — teraz w przeświadczeniu, że to idzie o jej los — nie hardo, ale stanowczo odpowiadała rodzicom, że za Walka „nie pudzie“.

Widząc ojcowie, że nie złamią jej uporu, przestali ją namawiać.

Zato w parę niedziel później zjawił się nowy konkurent, ale ten, widząc niechęć ze strony Rózi — sam się usunął...

Podobał się wielom skrawek gruntu, który miał Rózi przypaść, ale jej opryskliwość dla każdego odstraszała ich i zczasem przestali o niej myśleć... „Przecię tela dziewcząt po wsi... Hej!... a i gruntów nie brakuje, byle ino stówki były. A jakoz!...“

Wojtuś zniknął... Wszyscy stracili o nim słuch; listów nikt od niego nie odbierał. „Kazby przyszły z telego dola — kie on kasi jaze za morze pojechał!...“ — mówili ludzie.

A Rózia czekała cierpliwie. Rok jeden minął i drugi się zaczął — a jego nie widać... „Pedziol, ze przyjedzie, jak ino stówki zarobi...“

Coraz częściej zachodziła nad potok... Coraz częściej i rzewniej nucila:

*Wietrzycek liściami po konarach suści —
Zatoś moja, zatoś już mie nie opuści...*

Ojciec pochylał się ku ziemi ze zgryzoty. Twarz matczyna jeszcze więcej pokrajała się bruzdami, — a Rózia pracowała za matkę i za siebie. Chwilami tylko wolnemi biegła nad potok i patrzyła w wodę — długo... co jej też fale wyróżą?...

Minął rok drugi — i trzeci się zaczął, a Rózia ciągle była „na wydaniu...”

„Z Ł Y“

W kościółku wiejskim w Kulkoszowy suma się skończyła. Organista zaintonował „Przyjdź Duchu św.” i ksiądz pleban ukazał się na ambonie... Cisza zaległa w kościele; — ksiądz, przeżegnawszy zgromadzonych, począł czytać monotonym głosem ewangelję. Po skończeniu tejże, zamknął książkę, odłożył ją nabok i chwilę stał w milczeniu, pozierając po zgromadzonych „owieczkach”...

— Słyszeliście — zaczął, dobitnie wygłaszając każdą zgłoskę — słyszeliście, bracia, o tym strasznym wypadku!...

Ludzie przestali kaszleć. Wszystkie twarze zwróciły się ku ambonie... Dalej stojący pootwierali usta, by lepiej chwytac słowa kaznodziei.

— Opuścisz matkę i ojca i pójdiesz za nim!... — leciały słowa z ambony. — Tak wyraźnie rzekł Pan... Niewiasta, która nie dochowa wiary mężowi, przeklęta będzie za życia jeszcze!... Szatan jej mężem będzie, bo ona jego małżonką się staje, kiedy mąż do niej prawo traci... Słyszeliście, bracia, o tym wypadku strasznym...

Dreszcz przebiegł po zgromadzonych.

— Żona Jakóba Osiki zniknęła w dniach tych z własnego domu. Przepadła na wieki!... Życie jej niech będzie dla was przykładem odstrasającym!... Nie dochowała wiary mężowi swemu i Pan Bóg podał ją w szpony złego ducha... W piekle się palić będzie ogniem niewygasłym!... Szatani będą dniem i nocą lać smołę rozpaloną na jej piersi, wzdęte grzeszną chucią cielesną!... Przebaczenia! wołajcie, niewierne żony, sprośne córki! by was ta straszna kara nie dosięgła!... — Tu silnie pięścią zaargumentował na ambonie swoje słowa, aż echo zajęczało w chórze...

Baby podniosły krzyk. Jęk powstał nieopisany, a pleban stał, napawając się wrażeniem, jakie wywarły jego obrazowe słowa... Wielu podniosło lękliwe oczy ku sklepieniu, w przekonaniu, że dojrzą uosobioną w jakiejś nieokreślonej postaci zapowiedzianą karę...

Gdy płacz ucichł, kapłan ciągnął dalej zaczęte groźby i piorunował, posługując się tłustą pięścią, przez całą godzinę.

— Żebyście wy wiedzieli, — mówił — jak srodze męczycie sprośnymi grzechami Pana Boga, toby wam punkt centralny żalu pęknął!...

Wreszcie „kozanie“ się skończyło. Ludzie zaczęli wychodzić cizbą z kościoła. Przed kościołem, i dalej koło szynków, dzielili się na gromadki, żywo rozprawiając o czemś tajemniczo-strasznem,

jak to ich miny wylękle i przerażone oczy wskazywały...

Najwięcej jednak ludzi otoczyło organistę, który z wyrazistą gestykulacją opowiadał obrazowo jakieś zdarzenie. Lud z pootwieranemi usty patrzył w niego, jak w kaznodzieję.

On, który w swoim własnym interesie wiedział o każdym wypadku na wsi, a często był doradcą w sprawach szczególnie spornych lub zatargach rodzinnych, znał ten lud na wylot, wiedział gdzie, po co, do kogo się udać, on też był drugą we wsi powagą po księdzu plebanie.

Teraz ludzie, prawie wszyscy znajomi, otoczyli go kolem, a on im opowiadał przyciszonym głosem:

— He, Jakóbową znaleźcie wszyscy. Wyszła za tego niedołęgę, bo jej ojcowie kazali... Miał grunt — ta co nie było iść. He, ale to człek nie tak łatwo przywyknie, jak nima ochoty, sami wicie...

— Oj, tak, tak... — potwierdziła najbliższej stojąca młoda kobieta.

— Jakób dobry gazda, he, bo go znacie wszyscy... Ale cóż z dobroci, kiedy innych przyjemności nie posiada. Jakóbową szukała rozrywki. He, cóżby nie szukała!... Jakób głupi, bo cóż powiecie? Miał babę w chałupie, to za chałupom o nią nie dboł.

— Hej!... — potwierdziła gromada.

— Poszła wam ona kiedy do kościoła? coby!... W karczmie je było pełno i przy muzyce. Młodzi patrzeli jej w oczy, taj szaleli, bo było za czem!

— E, zaś ta! — zaprzeczyła zazdrosna, młoda wdówka.

— He, nie powiecie, nie... — ciągnął dalej pan organista. — Ni można znowu pedzieć, żeby jej co brakowało... Wiedziała, że była ładna, to i bałamuciała...

— Mój Jantuś ni może se miejsca znaleźć... Tak go ocarowała ścieklina!... — zawołała podeszła kobieta, krzywiąc gniewem pomarszczoną twarz.

— He, widzicie, widzicie... — mówił organista. — Ino nie wyklinajcie. Ona i tak na boskim sądzie... Skończyło się jej panowanie, skończyło... Zastyszeliście o tem, co kiesi zaszło, ale nie o wszystkim! he, nie o wszystkim.

Ludzie skupili się jeszcze bliżej — pootwierali usta... Pan organista tajemniczo prawil:

— He, jakem chodził po lnie,¹ tom koło chałupy Jakóbowej spotkał żyda; tak wam patrzył z pod oka nie swojsko, że mnie aż dreszcz przeszedł po ciele. He, myślę sobie: cosi niedobrze... No i widzicie, dwa dni potem, co zaszło...

— Podobno Jakób był wtedy w chałupie?... — spytała wdowa.

¹ Chodzić „po lnie“ = chodzić za lnem po wsi. Coroczna petycja organisty.

— A był. Właśnie miało się ku wieczorowi... Baba wróciła z miasta, z jarmarku — i, zmordowana drogą, legła sobie w izdebce; a Jakób siedział w piekarni. Medytował sobie i rozważał swoją dolę, a markotno mu się robiło, jak ino wspomniał na żonę. Widział oczywiście, że go oszukuje... „E, żeby ją już raz djabli wzięni!...“ — pedziot se naostatku. No i, widzicie, „zły“ niedługo kazał czekać na siebie. Bo jak ino to pedziot — tak nagle drzwi „cosi“ otwarło ze sieni i wlażło do izdebki... Jakób się zląkł, bo przecię drzwi zamknął — „ktożby je z pola otworzył!...“ Wzdrygnął się czegoś i bał się iść do izdebki. Poprawił ognia na „nolepie“, nałożył fajkę i le-dwo zaczął kurzyć — kie, jak wam nagle zadzwieczę okna, jak wam dach pocznie trzeszczeć!... Zdawało się Jakóbowi, że się chałupa zwali... Drzwi pootwieralo na oścież i wyło tak, że niech ręka bosko bronil!... Jakób się przeżegnał, upadł na kolana i skoro trzy „Zdrowaś“ odmówił — wszystko ustalo. Poziera się potem — a tu drzwi zamknięte, wszędy cichutko. Wziął „ślajze“;¹ poszedł do izdebki, a nogi mu się trzęsły, jakby we febrze... W izdebce nie zastał nikogo: ani baby, ani żywe dusze — ino na stole leżały szkaplerze i cała pięćdziesiątka...

Tu przestał i spojrzal po ludziach, którzy stali

¹ Ślajze = łuczywo (niem. Schleise).

zаслућani; w oczach każdego lęk się malował nieopisany...

— He, moiściewy — kończył — szkaplerze zostawił, bo to świętości „zły“ się nie dotknie... I pięćdziesiątkę, wicie, zostawił za nią chłopu. Drożej kupił, jak żydzi Poniezusa. Żeby choć stówkę — ale on wiedział, że więcej nie warta...

Skończył i śledził okropne wrażenie, jakie na słuchających uczynił opowiadaniem swoim.

— Jo se tyz myślę, — podjął niski chłopina — cemu to tak kiesi jęcało, jaze strach... A to wicie...

— Po lesie to wykrocało jedle i gnało kasi ku półnoey... — objaśniał stary leśny.

— A moja baba to ogień widziała w powietrzu — dorzucił jakiś gazda. — Jędrek zaś od Ciebie to słyszał na włosne usy, jak cosi krzycało tak strasliwie, ze go jaz ciarki przechodziły po skórze...

— He, widzicie, widzicie... — potakiwał organista.

— Jo zaś — podjęła nieśmiało jakaś kobieceina — widziałach niedowno koło wiecora, jak pon jakiś sed ku Jakóbowy chalupie. Zdawało mi się, ze to nas pon ze dwora, ale se myślę: cozby on tu teraz chcioł o ty porze?... Zaroz mie cosi pikło — przybliżyłach sie ku niemu, pochwalilach Boga, ale on sie odwróciół tworzom — i nie nie odpedziół... A tu, jakze miół odpedzić, kie to musioł być „zły“... Strach mnie wzion i zawróciłach

odrazu; szkoda ino, zech mu na nogi nie porzala — musioł mieć kopyta...

— He, „on“ się umie przebierać w cudzą postać... — zauważył organista. — Słyszeliście przecię, jak ksiądz gadał... A słuchojcie-no, Marcino, to „on“ był po pańsku ubrany?...

— Ano — tyz godom, ze był colkem do pana ze dwora podobny!...

— Panowie po ciemku syscy jednako wyglądają... — oświadczył jakiś gazda.

— No, nie stójmyż tak, — zauważył organista — bo ksiądz wyjdzie z kościoła i nagada nam, co się zmieści... Lepij chodźmy do Ziśla!...

I cała gromada z organistą na czele ruszyła do sklepu, gdzie obok korzennych towarów był wyszynk trunków i osobne, zabrudzone stancje dla gości. Nade drzwiami widniał już zdaleka czarno-zółty szyld: „Aron Süssel“, obok „Wyszynk rużnych trónków“.

Kiedy już wchodzili do drzwi, Marcinowa szarpnęła organistę za surdut, wskazując na pijanego chłopca, który się tarzał koło ławek:

— Ciewy, edy-to Jakób...

Organista spojrział na pijanego i szybko odwrócił twarz, przechodząc do szynkowej izby...

A pijany Jakób, o głupowatym wyrazie twarzy, krzyczał na całe gardło:

Jak baba ladaco — to i djabli potem!...

Kie ci sie udala — to ij zapłóc zlotem!...

Posunął się jeszcze ku „szynkasowi“, wyjął drżącą ręką pieniądze ze zanadza i, nie licząc, sypnął na stół. Żydówka nalala kieliszek „monej“ — wychylił, rękawem otarł usta i, trzymając się ściany, zmierzał ku drzwiom... W progu upadł — zgramolił się znowu i wyszedł, utykając i kreśląc najrozmaitsze figury po drodze... Zdaleka jeszcze słychać było chrapliwy śpiew:

*Zjedz-ze kopę djabłów, kiedyś mie nie chciała!...
Jo sie już ozyniół — tyś sie nie wydała!...*

Ludzie patrzeli z przerażeniem na niego i odsuwali się, omijając zdaleka.

W alkierzu żyd zakonny siedzi — o takim poważnem obliczu, jak biblijne postacie. Na pierwszy rzut oka — ta regularna twarz i długa, siwa broda przyjemne czyniły wrażenie, a nawet uszanowanie nakazywały swoją powagą. Ale ktoby mu w oczy głębiej spojrzal, — to na samem dnie zwierciadła duszy dopatrzyłby się szkaradnych namiętności... Chciwość i chytrość wychylały się przed innemi naprzód.

Siedział — i przeliczał pieniądze, odkładając srebro na kupki, a banknoty chowając w książkę zabrudzoną...

Kiedy głośniejszy gwar doleciał go z przyległej szynkowni i przerwał mu rachunek — on

krzywił się i podnosił głowę, a twarz, w spokoju regularna, przyjmowała teraz wyraz szpetny. Uśmiech zaciekłości i pogardy igrał mu na ustach.

— Hm, goje głupie... — mrucał do siebie — plebana słuchają i organisty... Jakóbową porwał „zły“?... Niech będzie zły. On i tak niedobry, bo mi nie zapłacił tela, ile obiecał... A ona będzie panią — do czasu... Co mi to szkodzi?... — i liczył dalej pieniądze.

— Jehowa podał w ręce Izraela lud ten pożański i głupi, a kapłani jego pomagają Izraelowi ogłupiać go... Jesteś mądry — o Adonaj!...

Schowal pieniądze do szufladki — i wyszedł do szynkowni bawić gości i słuchać opowiadania o „złym“...

NA ZAROBEK

Ludzie po sumie wyszli z kościoła i rozprószyli się po rynku, gromadząc się tu i owdzie w większe gromadki... Niech naprzykład dwoje ludzi stanie i pocznie gawędzić, — zaraz podchodzi trzeci i czwarty, a każdy rad się przysłuchać, „co tyz ta mówią“. Już to ciekawość ludu leży w jego naturze.

Ot i teraz gromadkę młodych parobczaków, którzy żywo o czemś rozprawiają, otoczyli kołem starsi gazdowie, to kobiety, a każde uszu nadstawia, to „oździawia gębę“, by przecie co zarwać z ogólnej rozmowy.

— O cemze to tak rozprawiają, moiściewy? — pyta jakaś stara kobieta, która co dopiero nadeszła, stojącej obok kumoszki.

— O swoim wyjeździe, moi kochani, hej!...

— To sie syscy zabierają na ten zorobek... a ktoz tu we wsi ostanie?...

— No, pytojciez sie ich ta! kie przecie we świecie zarobią, a tu bieda kroćsetna. Nawet na

sól nie wystarczy, a niestoboze¹ na zycie i przyodziewek...

— Dyc prawda... — potwierdziła kumoszka.

A tymczasem w pośrodku zgromadzonych dorodny parobczak rozpowiadał szeroko, jak on to słyszał od Kuby Brzesiaka, który był w Peszcze, jak tam dobrze płacą za robotę, jakie tam zycie wygodne itp.

— Tam ino sperka, a światły chleb.

Paru gazdów obliznęło się. Światły chleb — to u nich coś szczególnie apetycznego. Przyzwyczajeni do owsianego placka, jak kupią „kukielkę“ na jarmarku, gdy im zbędzie centów od niezbędnych wydatków, — toż to w chałupie uciecha!

— I kiez sie naprowadę zabierocie?... — spytał gazda stary mówiącego parobka.

— Kieby jak noprędzy! Choćby pojutrze... — odpowiedziało paru. — Dyc wiesna nadchodzi, trza zarobić co do chałupy...

— A duzo vos jedzie?

— Ho! sporo. Jasiek od Grzędy, Wojtek od Cieśle, Jędrək od Porąbskich. Nazbiero sie nos z pięćdziesięciu.

— E, dyc i z Hameryki pisą nasi — podjął drugi gazda — ze sie im ta nieźle powodzi. Zarobiają po dwa dulory na dzień.

¹ Niestoboze = nie to Boże (nie dopiero).

— A kieloz to w dulozrze? — spytała ciekawie jakaś kobieta.

— Bedzie z półtrzecia reńskiego... — objaśniał gazda.

— Oj rety! To jaze telo!... — dziwowała się kobiecina.

Na uboczu stało parę dziewcząt, poglądając smutnie na odjeżdżających. Niejedna myślała o „swoim, cy tyz wnetki wróci, cy o niej nie zabocy. Godają, ze w Peszcie niemało dziewczek, — to i locwo mogą ij odbić chłopca...”

Długo jeszcze rozprawiała gromadka; wreszcie poczęli się rozchodzić ludziska, fo na nieszpór, to do chałupy. „Ot, zycanie“ — każdy w swoją stronę. Rynek się opróżnił, tylko jeszcze pod wieczór paru pijaków szukało drogi po omacku, albo Izaak jaki starozakonny przesunął się, spacerując powoli w swoim długim półjedwabnym chalacie...

Minęło parę dni. Pochmurno było na niebie i na ziemi, dżdżysto i posępno, jak „zycanie przed wiesną...”

Śnieg ledwo się stopił na kamienistej powierzchni, a już, dysząc zimą, występowała szara, mokra ziemia, deszczem i trudem chłopca urobiona z rozsypanych kamieni, — sam rozsypujący się piaskowiec, zmuszony wilgocią coroczną i móżolną uprawą wydawać karmę jałową dla chłopca.

Zaorane wertepy skalne, dawniej pastwiska —

świecą drobnymi kamieniami, między którymi gdziegdzie tylko ziemia się przesypuje. Jałowa gleba — jałowy owoc wydaje; jałowe też życie górala.

Wioska cała doliną spływającej roztoki się ciągnie; chałupy koło wody rozłożyły się osiedlami.¹ Ale przyrastająca ludność pcha się z doliny po stokach ku górze, zaorywuje pastwiska, kleci po bokach góry nędzne chaty, a gdy na szczyt dojdzie, gdzie już ostatek pastwisk i tłoków, — to wtedy chyba na gwiazdy sięgnie po ziemię, bo jej tu zabraknie... A to niedługi czas do tego!

Nie dziw, że lud szuka zarobku, gdzie tylko o jakim zasłyszysz; nędza wypycha go z chaty...

Ot i teraz... drogą, która wiedzie koło wody do miasteczka, widać wlokących się po dwu, po trzech rosłych, ale zmizerowanych, młodych ludzi. Idą z zawiniątkami na kolej... Ona przeniesie ich od krainy nędzy do tych wymarzonych miejsc, gdzie tak łatwo zdobyć parę „papierków...” Tak łatwo tam przychodzą „pieniądze”.

— E, coż to za trudność — myślą sobie — ino sie robi dwanaście, abo dziesięć godzin na dzień, a weźnie sie za to siedem sóstek! Kie na to trza we wsi dwa dni, abo i więcy robić... Cały rok

¹ Osiedle = parę domów w kupie, związanych z sobą wspólnością pastwisk i ugorów.

bozy cłek haruje i haruje, a nika nic!... Dłub w tym gruncie i dłub, a on cie jesce nie zdole wyżywić...

Takie myśli przesuwają się po głowie odjeżdżającym i nadzieja prędkiego zarobku już im naprzód rozjaśnia wybladłe twarze...

Na godzinę, w której kolej odchodzi, zgromadziło się sporo ludzi na dworcu. Z każdej wsi ciągnął ktoś; około dwiestu ludzi czekało na pociąg. Niebawem nadjechała „masyna“.

Lud rzucił się do wagonów... Za parę minut pociąg ruszył i powiózł młodych nędzarzy „na zorebek...“

Na dworcu zostali załzawieni ojcowie, szlochające głośno matki i parę dziewcząt, które odprowadziły „swoich...“

— Niech-ze ich ta Pon Bóg prowadzi, Matka Nojświętso!... — polecali Bogu odjeżdżających znajomi i bliscy

I „przemkło“ pół roku... Lato gorące, przeplatane częstymi burzami, załoniło się w uciekającej przeszłości...

Stodoły były tylko do połowy wypełnione. Grad poniszczył chleb na polu, a co grad nie zbił, lub woda nie zabrała, to zepsuły długie słoty w czasie zbiórek, a do reszty i dziki pomogły jeszcze na zagonach wymłócić.

— Jak tu z takim lichym zasobem ograć długą

zimę?... — wysila się mózg strapionego gazdy... napróżno! Pozostaje chyba jeszcze jeden ratunek: zarobek....

W chałupach, gdzie mężowie lub syny poszli jeszcze z wiosną „do światu“, — tęskno wyzieraają i oczekują ich niecierpliwie...

— Dyc pisali parę razy, przysłali nawet po kilkanaście ryńskich, ale tu ku zimie trza tego i owego; moze tyz zarobili co więcy i przywiezą...

W niedzielę po sumie, na rynku, gdzie jedyne miejsce do wspólnych dla całej wsi żalów i skarg, — zbierają się coraz liczniej i częściej ciekawe gromadki; a wszystkie gwarzą tylko jedyne o zasłyszaniem powodzeniu zarobkujących, to o ich bliskim powrocie...

I rzeczywiście — w jedną taką niedzielę, z początkiem adwentu, można było wśród ludu rozróżnić kilku, a nawet kilkunastu „po pańsku“ ubranych, którzy coś ciekawego naokół rozpowiadali, bo ich słuchano pilnie, a gęste gromadki otaczały ich dookoła...

— To *sem* nie tak, jak myślicie... — mówił jeden z owych pół-panków, przybrany w surdult i wysokie buty. — Tam nie je *neni* tak *dobre*, jak ludzie *šprechuja*... Na wikt, to wystarcy, lebo na odzienie; na posylenie ale do domu — to nie wystarcy. Jak nadejdzie *becalunek*, to się *hnelki* rozleci. Na *faierant* nima, coby do miasta na *Budzin-štad* wyjść wedle *špacyrunku*...

Ludzie słuchali go uważnie, a matka, stara kobieta, napatrzeć się nie mogła synalkowi, że „tak przepiknie wyglądo, kieby nieprzymierzając jaki pon, abo ślachcic“. Imponowały jej szczególnie pomarszczone buty wysokie i „mieme“ słowa, często używane, których nie rozumiała. a gdy się jej sąsiadki pytały ciekawie, czy przecie syn przywiózł co „dudków“, odpowiadała:

— Piniędzy, bo nie przywióz zodnych. Ale coż sie dziwić! Dyc przecię i tam trza jeść i ubrać sie nie byle jako, bo to nie między swoimi... Zato tyz ubroł sie nolezycie i na tworzy go przybyło. Casu nie marnował, bo przecię i po mimiecku godo i po madziarsku... Zawdy sie to przydo!... On wom juz tak, wicie, od malučka był przyściepny do syckiego!

Radowała się biedna matka... ha! było czemu.

Ludzie słuchają, a kiwają głowami i dziwują się, gdy przybyli opowiadają cudaczne dziwy i tym „przepięknym landzie“. Dziewczeta tylko niektóre posmutniały, że się ci „swoi jakosi podmieniali...“ Żadna nie ma jakos śmiałości przystąpić, zagadać, jak przedtem... I oni już nie patrzą na nie, jak dawniej.

— Skoda chłopców — mówily do siebie. — Tak im bylo pięknie w naskim stroju, a w tych burnusach wyglądają, jak śwoby. Musiały ich odmienić tamtejsze dziopy...

Niejedna też poplakala na boku... Żal jej było *tamtego*; — *ten* „jakisi inaksy... inaksy!...“

A stary gazda Jontas, co to bacował jeszcze za dawnych czasów, — poglądał z pod oka na tych „cudoków“, jak ich nazwał, — i machnąwszy ręką, odchodząc szeptal do siebie:

— Hej! Nie te to casy, nie te... Downiby cie wyśmioli, jakbyś sie pokozoł w tych burnusach między swoimi... a dziś? Edyc ten zorobek, ten zorobek... — labiedził stary — dyc coż z niego?... Do chalupy nic nie przyniesie... Jako bieda była— tako bedzie... Przynomni jak siedzieli w domu, to choć obycajów starych pilnowali... A dziś — ot co?... Pošli we świat, wiary zabocyli, ojcyście gwary sie juz wstydzą, jakiesi cudzoziemskie wyrzenia ino słyhać... Przyodziewku to na tem zodnego; ani to chazuki, ani poćiwego kapelusa... Wnetki sie we światowców poprzemieniają. Drzewi¹ ka ta kto słysoł o jaki kolei?... Wozem sie jeżdżilo, po ludzku, abo sie slo na nogach... Jak wto roz za zycio był w Krakowie na odpuscie — to juz była wielgo rzecz!... Dziś — kielo to luda do Pesztu, to do Ostrawy, to... djabcy wiedzą kany!... A to syčko nic dobrego. Jesce do Hameryki— pol grzechowie!...² Tam przecię i zarobi i do chalupy przyśle, a o swoich nie zabocy, bo to kajsi

¹ Drzewi, drzewiej = dawniej.

² Pol grzechowie = pal djabli.

precki za morzem, to sie i za swoimi ztęskni... Ale do tych miastów — to nieszczęście całe!... Ha no, bieda gniecie... Ludziska sukają sposobu do zycio... Coroz więcy luda wychodzi ze wsi, a nic nie ubywo... Dziś ni mają z cego żyć, a z cegoz będą potem, jak sie ich więcy namnoży!... Fabryki sie wnetki przepelnią i zarobku nie stanie... Hej! bedzie to źle, bedzie... Ale coż poradzis? Dyć trudno mają sie potem sami wiesać pomiędzy sobą!... Boze! nie dejze tyz tego docekać mnie i moim dzieciom...

Tak labiedzil stary gazda i wsparty o poręcz pod kościołem, dlugo jeszcze myślał coś w sercu i rozważał... Wreszcie machnął ręką:

— Dyć wóło Bosko na syćko!... — rzekł głośno i poszedł powolnym krokiem do kościoła, bo „juz na niespór sygnowali... Hej!...“

ino kto doradziół, to sie uzywało. Ale to wóło Bosko syćkiem rżadzi.

— Hej! — przyświadczyły kumoszki.

Książd wzruszył ramionami, otulił się w futro szerokie i wyszedł przed cień.

— No, Wojciechu, jedziemy!...

Wojciech rzucił „zeleźniocek“ z mlekiem, wziął biczyisko i ruszył ku sankom. Zawrócił na miejscu...

— Siadajcie, jegomościu!...

— Jedź, jedź... Ja zejde na dół, za potok... Jeszcebyem gdzie karku nadkręcił po tych wertepach śnieżnych.

— No, to jegomościa sprowadzimy! — ozwało sie paru gazdów.

— A dobrze...

Kobiety znów rzuciły się do „jegomościa“, by ucałować ręce na pożegnanie, które on niechętnie na mróz wysuwał.

Sanki ruszyły, zapadając w zasy co chwila, a ścieżyną, wydeptaną przez ludzi, którzy zwykłe „gęsiego“ chodzą do kościoła, toczył się w szerokim futrze „jegomość“, za nim paru gazdów, odzianych w krótkie kozuchy.

Tymczasem ludzie przeszli z sieni do izdebki i otoczyli chorego, dręcząc go najrozmaitszemi pytaniami. On wysilał się i odpowiadał, bo „kto wie, cy ich jesse užry“, czuje, że go „ino tela z tego“ na świecie...

— Toście destament robili? — spytał kumotr daleki.

— Robiół.. pisorz...

— I wasej-eście zostawili syćko?

— Ehe!...

— A dzieckom nic? — spytała ciekawie kumoszka.

— Jak będą matki słuchać, to będą mieć... Dyc' ona nie będzie wiekować na świecie...

Starszy chłopak patrzył się bezmyślnie na ojca, a dziewczynka płakała pod oknem... Mały Józus pobiegł za matką do piekarni.

— Hej, dzieciśka! — zaczął biadać chory. — Zeby mi Pon Bóg doł tela zycio, coby to odrosło! A tak — matce bieda... Nie popchną, nie przyżrą koło chatupy... Matce bieda!... Zeby je choć słuchały...

I dwie lzy wzruszenia wytrysły mu na powieki. Wtem kaszel porwał go suchy i dławił parę minut. Twarz zczerniała od wysiłku, od szamotania płuc... Opadł powoli głową na „zagłówek“ i osłabiony, patrzył wkoło po zebranych...

— Z czego wom tyz to tak wlażło do tych pier-si? — zagadnęła go najbliższej stojąca kobieta.

— Et... — zatknął się, wargami ruszał, a głos ugrzązł w gardle.

— Dejcie pokój, nie pytojcie!... Widzicie, ze kumotr słabsi. Godanie ich męcy — zauważył rozumnie starszy z gazdów.

Zgromadzeni pozierali na chorego, to na siebie, jakby spojrzaniem chcieli mówić: „Hej, juz go niedlugo... Tela z tego... Do casu ino“...

A chory zapatrzył się w sufit... Wzrok szklistej barwy nabierał i twarz znieruchomiała, jak oblicza bohomasów, które wiszą na ścianie nad łóżkiem.

Ludzie poczęli się wreszcie rozchodzić, żegnać...

— „Ostańcie z Bogiem!“ — „Krzepcie się ja-ko!“ — „Z Panem Bogiem!“ — „Dy zeby Bóg doł“... — Krzyżowało się naprzemian.

I chory odprowadzał wzrokiem ku drzwiom każdego, jakby chciał rzec: „Dy jo cie juz nie użrę więcy!“

*

— To padocie, ze umar ten ze zagrody?

— Oj tak, tak. Umar te nocy...

— Wiecne odpocywanie... Niezły to był gazda!... Ha no, i nos tu niedlugo... E, siądźciez kumotrze, nie stójcie. Dyc' kaz wom tak pilno?...

Stary Jontas postawił stólek sąsiadowi. Ten usiadł powoli...

— O, nika mi sie nie śpiesy. Inoch wom przy-sed pedzieć...

— To padocie, Bartłomieju, ze te nocy?

— Hej, koło północka. Krzypota¹ go chyciła, ta i zadłowiła na piekne.

¹ Krzypota = suchy kaszel.

— Oj, ta krzypota... dyć ona nie zartuje, ino, jak sie uweźmie, to i zadusi...

— A to syćko od roboty.

— Ba, od cegozby insego!... Ono ta, jak cłek dźwignie, to tego odrazu nie cuje, ale jak sie potem syćko zezbiero na kupę, to Panie Boze raturuj!

— Hej!...

I starzy dwaj kumotrowie biadali na „ciężką procę“, z pracy zesłi na biedę, a bieda to ulubiony, ba, konieczny temat rozmów górskiego ludu. Powitanie „biedą“ rozpoczynają, a pożegnanie „biedą“ kończą...

O czymże innem mają mówić, kiedy bieda wypełnia treść ich życia...

Ona po kamienistym polu sunie się za gradobiciem, ona do stodół zagląda po nieudałych prawie zawsze żniwach, ona wygląda z każdego kąta w chałupie, ona jest towarzyszką nieodstępną biednego gazdy...

Toć to prawda, że dawniej było niewielu gazdów we wsi, ale każdy wypasał po pięćset owiec na trawiastych pastwiskach. Dziś namnożyło się gazdów — „ot, zycanie, ludzi przybywo“ — a grunta stopniały, rozdrobiły się i rzadko znaleźć gazdę, któryby troje bydłał wyzimował. A komorników mnoży się coraz więcej, którzy ledwie dach mają nad głową, najemników, któ-

rzy idą we świat „lo chleba“ — a i we świecie ludzi nie brakuje...

Ciemna przyszłości! — jaką karmę gotujesz dla ludzi bez zagonów, których coraz więcej?... Ot, i z przyszłości towarzyszka Bieda ręce do „swoich“ wyciąga i z okropnym uśmiechem przedstawia im swego syna...

To godny matki płód! — a imię jego: Głód...

.
.

Kiedy się już starzy nagadali do woli, pierwszy Bartłomiej podniósł się ze stolka.

— Uciekocie juz, kumotrze? — spytał gospodarz.

— E, trza iść dali... A mozebymy zażreli do nieboscyka? Zbierzcie sie, kumie!

— E, dyć... choć po śmierzci trza go zobaczyć, bo go juz nie użrymy.

Wdział kożuch na biodra i wyszli razem, prując śnieg kolanami, ku chałupie, gdzie spoczywał umarły... Po drodze przypominali sobie pożycie sąsiedzkie z nieboszczykiem.

— Był to zgodliwy cłek. Niech mu ta Bóg grzechy odpuści!... Z nikim nie zadar, nie zaczął, a doradził kazdemu, jak ino zdolol... U niego dostol syćkiego: cy to jarzma, cy to kołu, cy jakiego inzego sprzętu.

— Hej! — potwierdził sąsiad. — Pamiętom, kie jesce był chłopokem nieduzym, jak my se to razem posali po lesie. On ta strugał fujorki, jo rzempolil na skrzypcach i wesolo nom bylo! Hej... Do odbiórki¹ my razem chodzili. He, był to zmyśny chłopok! Co on ze zydami nawydzwiol!... Niech mu ta tego Pon Bóg nie rachuje. Potem wzięni go do wojska... A kie przesed do chałupy, to już ojca nie zastol, ino goły grunt. On sie, wicie, wzion, ozyniol, długi posplacol i tela z tego, ze sie zaczął brać do świata, kupił se woły i cosi kajsi, a tu, wicie, trza syckiego odejść... Bo śmierć nie zartuje, ino przydzie i: „Pódz Kuba do wójta!“

— Hej, nie zartuje... nie — powtórzył sąsiad.

Stanęli przed progiem chaty, do której zdążyli... Obejrżeli się jeszcze poza siebie, jak zwyczaj każe i weszli do wnętrza. W piekarni na długiej desce, przykryty białą płachtą, leżał trup...

Ludzi było sporo w izbie, starszych i młodszych. Naschodzili się „na pociesenie kumosce“, kiedy ją taki smutek dotknął.

Ona, z załamanymi rękami siedziała pod piecem, popłakując od czasu do czasu. Dzieci koło niej sie usadowiły i patrzyły ciekawie, to na ludzi, to na leżącego tatusia, nie rozumiejąc jeszcze nieszczęścia, jakie na nich spadło...

¹ Odbiórka = pobór do wojska.

Koło przeciwległej ściany stolarz „hybłował“ deski na trumnę... Robił on wszędzie „trunny“, to też obojętnie spoglądał na patrzących i na nieboszczyka, dla którego robi „kołyskę“ (jak mówił).

— Dy mi to nie pierwszyzna — rzekł, kiedy go prosić przyszli. — Ino ta poliwa przystrojcie!...

To „poliwo“ pociągał od czasu do czasu „na fraszunek po umarłym“, jak mawiał, ale deski hybłował gładko i spajał dokumentnie.

— Jak wom zrobię trunnę, — gadał — to sie wom do nie za sto lot chrobaki nie precisną!... Jakby gróborz natrafiol trupa, kopiąc grób, to go zdrowiuteńskiego wydobędzie. I gotowi biskupi kanunizować nieboscyka za taki cud ocywisty!... Bo ino wtedy chroboki lażą, kie trunna ladaco...

Wierzyli mu i nie wierzyli, a on bajał, gdy „poliwa“ pociągnął.

Wieczór się robił powoli... Kurniawa¹ rzuciła śniegiem do okna, a ludzie posiedli, gdzie kto mógł, i pocieszali, jak mogli, strapioną wdowę...

— E, kielożeście zapłacili, kumosiu, za pogrzyb? — spytała jej ciekawie sąsiadka.

— Calutkie trzydzieści ryńskich, kumosiu, calutkie...

— Ale przecie bedzie ladne nobożeństwo?...

— Edyc bych tyz chciała dopomóc nieboscykowi, co ino w mocy. Zamówilach nobożeństwo,

¹ Kurniawa = zawierucha śnieżna.

wilije za umarłych. Książd plebon nie chciał tani przystać, jak za trzydzieści. Prose go, zeby tyz co opuścił, bo i na nas bieda, a jegomość mi pado, ze za dwadzieścia to nawet na smentorz nie odprowadzi... a tu jakoz bez odprowadzenia chować! Przecie my tyz katolicy. Musiałach hań od kumotra pozycyć i zanieść jegomościowi. Sprzedom krowę na jarmarku, to im oddom. Ale coz było robić? Kie trza, to trza, a chciałach koniecznie, zeby go tyz ućciwie pochowali! Dyć zasłużół na to... — I zalala się łzami na nowo.

— Nie krzyćciez, kumosiu! — pocieszały ją inne — dyć sie wom już nie wróci! To darmo... Juz musicie przyjąć, kie tako wólo Bosko...

Wdowa uspokoiła się powoli, gdy starzy, „zeby sie im nie cnęło siedzieć, coby nie zdrzymnęli“, poczęli kolejno opowiadać różne historie, mające związek ze „śmiercią“.

Więc stary Jontas, gdy już inni skończyli, tak zaczął:

— Kiedy mój nostarsy syn, dyć go znocie, słuzół przy ułanach, pojechał z całom kompanijom na Węgry, ka ich starsi posłali. Było to, wicie, wtedy, kie Segedyn zalola woda, bo akurat mi opowiadał, ze stoli pod Segedynem, coby ratować mieszkańców... No i wicie, on stoł ze swoim śwadronem w jedny wiosce, ino se ni mogę zbocyć, jak sie ta wieś nazywo... No, ale niech sie nazywo, jak chce. Dość, ze tam było... On, wicie,

jeździł z raportem do miasta i wraco nazod koło północka... Kie juz był w połowie drógi, słysy jakiesi tyrcenie za sobą. Oglądo sie, a tu baba, ubrano colkiem biolo, jedzie za nim na wózku... Miesiąc świeciół, to widziół dobrze, kto jechoł. Zdziwiół sie okropnie, ze to ani konia, ani zodnego zwierzęcia, coby wózek ciągło, ino sama baba siedzi na dwóch kólkach i jedzie krok w krok za nim... Złak sie cegosi, włosy mu jaze copkę podniesły. Zacion konia, puściół w galop i pędzi, co tchu, a tu tyrcenie nie ustaje... Co on pędzy, to i baba pędzy; co on pomali, to i baba pomali... Jaze dojechał do wsi. Baba skrećila do noblizse chalupy, a on wpod do swoje kwatery. Nic nie godo, ino zsiado z konia, a tu wtydyrnecki¹ wpado kobieta z te izby, ka biolo baba skrećila, i lamentuje, ze ij chłop umar... Wtedy, wicie, mój chłopok przysed na to, ze ze śmierciom jechoł.

Zaciekawienie na twarzach sluchających było ogromne. Paru gazdom fajki pogasły, a oni sluchali ciekawie. „Dyć jest o cem sluchać, moiściewy... Hej!“

— Mnie sie zaś tak zdarzyło — podjęła niemłoda kobieta, którą powszechnie z wielkiego szacunku „chrzesnomatką“ zowią. — Wysłach se wiecór na pole i widzę: na trawniku cosi biole

¹ Wtydyrnecki = pędko (w jednej sekundzie).

lezy... Myślę... cyby gopa spadła z krzasła, bo sie to, wicie, za dnia bieliznę susyło... i posłach podnieść. Lezało wom tak, jak poswijono łoktuska...¹ Schylom sie po to, kiedy ono, wicie, podniosło sie samo ze ziemie i posło powietrzem ku tetaizbie...² Coś mnie wzdrygnęło... Wróciłach sie zaroz do izby i jescech dobrze drzwi nie zawarła, kie z tetaizby wpado kumoska i pado z krzykiem, że ij dziecko umarło... No, wicie sami, co to było...

— Hej! — odezwalo się kilku z drzeniem w głosie.

A dzieci trwoźnie pozierały, to ku drzwiom, to do okna, czy tam „cego biołego“ nie zobaczą...

Opowiadania poczęły się wysuwać jedne z drugich i przesiadzieli tak noc całą... do rana, a nikt się nie zdrzemnął, jedna wdowa tylko, ukotyłsana strapieniami, „zemzała“ na chwilkę...

Świtać poczęło i ranek się robił. „Kurniawa“ ustala... mróz tylko skrzył się po śniegu gwiazdkami, a od wschodu słonka „obezgló się“ na pogodę...

Ludzie się poczęli rozchodzić do domów, by zjeść co, ogarnąć się i przyjść znów odprowadzić nieboszczyka do kościoła i na cmentarz...

*

¹ Łoktuska = biała lniana płachta, używana przez kobiety, jako wierzchnie odzienie.

² Tetaizba = tamta izba, czyli dom sąsiedni („ku tamtej izbie“).

Od chałup z pod lasu gromada ludzi płynie powoli, rozsuwając mialki śnieg z pod nóg... Czterech tęgich parobczaków trumnę czarną niesie na ramionach. Wszyscy na mróz głowy podkrywali i nucą półgłosem jakąś smętną, grobową pieśń o czyściu...

Na białem tle ta czarna masa, jak cmentarz, posuwa się powoli... Czasem melodja popłynie ku sinym lasom, czasem poważny, basowy głos dzwonu o pobliską górę się obje, to znów rozdzierający płacz kobiety, idącej za trumną, przede drzwi powietrze, a cała wioska spokojna, cicha, weselszą szatą białą przybrana, śnieżystą piersią w słońcu oddycha, rzędami drzew i miedz porana...

Przed kościołem stanęła gromada ludzi. Naprzód trumnę ponieśli młodzi do kościoła, za nimi posunęli się starzy, kobiety, dorośli i niedorośli... Nieduży kościółek wnet zapelniał się zgromadzonymi „na pogrzeb“.

Grabarz z pomocą parobczaków postawił trumnę na katafalku i zapalił dwadzieścia cztery świec. „Z trzydzieści reńskich dość światła, powiedział ksiądz pleban“ — tak objaśniał grabarz ciekawych.

Organista zaintonował żalobną pieśń i ksiądz w czarnym ornacie wyszedł do ołtarza... Po skończeniu mszy św. rozpoczęły się wilje. W jednej ławce ksiądz wikary, w drugiej organista, śpie-

wali monotonnie naprzemian psalmy pogrzebowe. A lud płakał, „kie sie jegomość z organistom przemowiali...“

Spory pagórek centów piętrzył się na tacy przed trumną. To lud „na ochwiarę“ złożył... „Przecie cent, to nie piniądz, a nieboscykowi sie jako tako dopomoze... Hej!“

I skończyło się nabożeństwo. Trumnę wynieśli z kościoła; za nią szedł zwolna ksiądz w żałobnej kapie, dookoła zaś postępował lud rozplakany...

Zatrzymali się nad grobem... Ksiądz pokropił i rzucił drewnianą łopatką parę grudek zmarzłej ziemi na trumnę. Lud zaczął szlochać głośno... Kobieta-wdowa z krzykiem rozpaczy rzuciła się ku trumnie, objęła ją czerwonymi od zimna rękami i zawodząc głośno, całowała zimne deski...

— Nie mogliście się w domu wypłakać!... — odezwał się „jegomość“. — Tu już krzyceć darmo!... — Zaintonował „Salve“ i uważając obowiązek za spełniony równoważnie do zapłaconej sumy, oddalił się szybko, bo mróz nie żartował.

A kobietę ledwo zdolali znajomi odedrzeć od grobu... „Ozcymali“¹ jej jak mogli, a ona ostatkiem lez żegnała „nieboscyka“.

Lud otoczył grób kołem i począł nucić rzewnie, cicho pieśń nagrobną:

¹ Ozcymali = tłumaczyli, perswadowali.

*Pogrzebmy to ciało w grobie —
Niechaj tu spoczywa sobie...
Albowiem z ziemi stworzone,
W ziemię będzie obrócone...*

Straszną prawdą silniej już zabrzmiała druga zwrotka:

*Możny i ubogi równy —
Nikt od „śmierci“ nie wymówny;
Któż wie, na kim kolej stoi?
Przeto niech się każdy boi...*

Lud rozśpiewał się, rozplakał i nie spieszyło mu się do domu, choć mróz szczypał twarz i oczy... Gdy skończył jedną pieśń, zaraz rozpoczynał drugą, a co która to rzewniejsza żałobną melodją... Jakby głos skarżącego się z trumny, leciał śpiew po drzewach:

*W tę podróż odchodzę... nie biore nic z sobą —
W postaci okryty śmiertelną żałobą...
Tylko cztery deski, z siedmiu tokci szata —
To cała zastuga z mizernego świata...*

To znów podzielili się młodzi i starzy na dwa chóry żałobne, chóry umarłych i żywych. Młodzi pytają grobów:

*Zatrzymajcie się — rozpytajcie się:
Czyje jęczą prochy?...
O syny, córki!... — co te pagórki,
Co szepczą te lochy?...*

A odpowiedź grobów płynie:

*Pominieli nas — zapomnieli wczas
I nie rzekli nam:
Wieczny pokój wam!...*

I bolesną powtarza się skargą. A żywi pytają się znowu:

*Odezwiście się — upomnijcie się,
Smutne kostek jatkil...
Nie zna was cudzy — krewni i słudzy,
Nie znają was dziatki...*

Odpowiedź umarłych, jak z grobów, jękiem się wydobywa:

*Spijmy głęboko... Już wasze oko
Nie zobaczy nas,
Chyba w sądny czas...*

Pieśni się skończyły... Ludzie pocichu szeptali paciorki — i poczęli się rozchodzić w nabożnem milczeniu po cmentarzu... Każdy przecie chciał się i za „swoich“ pomodlić, — a nie było człeka, „coby kogosi ze swoich tu ni miał“...

Wreszcie ostatniego dziada mróz wygnał z cmentarza i cisza była w zmierzchu drzew, — wielka cisza grobów...

*

Prawdziwą boleść tego ludu tylko na cmenta-

rze można zobaczyć. W furcie cmentarnej zbywa on się ziemskich namiętności — i te prawdziwe skarby pięknej duszy jego otwierają się na widok grobów rzewnością nieopisaną, smutkiem prawdziwym, i płyną w żalobnych melodjach na świat z cmentarza... Zawzięty chłop, gdy na cmentarz wejdzie, gotów darować wszystko największemu wrogowi... Tu się odbija prawdziwa jego wiara, uczucie... Komedją są wielkopańskie pogrzeby „na urząd“ wobec tych bogatych świątyń smutku żalości ludu!... Piszę to, com widział i słyszał. Dzieckiem jeszcze, wyplakałem duszę przy tych cmentarnych śpiewach ludowych. I nie żał mi smutku owego... Kto chce lud poznać, — niech idzie słuchać jego nagrobnych pieśni. I nie wiem, czy jest człowiek myślący, któryby potrafił lży powstrzymać, gdy tylko samą melodję usłyszy owej pieśni grobów...

SKRZYPKI GRAJĄ — BIEDA GRA

„Na Koninie bory sieką!“ — leci wieść od chaty do chaty i weseli zawsze jednako posępne twarze biednych ludzi, bo i ma czem weselić...

Bory — to długa łąka u stoku góry, własność całej wsi Koniny. Nie ma granic, ni kopców, a gazdowie po skoszeniu dzielą się kopami. W połowie sierpnia zaczyna się jej „siecenie“. W piękną, jasną noc księżycową wychodzi z kosą najstarszy gazda do borów, a gdy echo oselki, jak tokanie gluszcza, przeleci po wsi, jakby za czarodziejskiem zaklęciem zjawia się cała gromada, klepie kosy, nabija i wnet bory ożywiają się szaremi postaciami; ciemne szeregi chylą się, to podnoszą, miarowo, w równym taktie, a miękka trawa z szelestem pada na długie, wilgotne pokosy... Czasem pieśń duszna, zgrzytliwa wyrwie się z gardła nędzą zdławionego i w czystszych echach obje się o pobliską górę; czasem ostrzenie kosy, krótkie, urywane, zadźwięczy i ku okolom¹ pustym

¹ Okół = stodoła.

poleci... i szelest znów ten sam, jednostajny, pomieszany z ciszą, i migotliwe błyski ostrych kos...

„Bory sieką!...“ — Dziewczęta się radują, bo po „sieceniu“ grabienie, po grabieniu kopienie, a przy kopach nocą księżycową muzyka i tańce... Toż to uciecha, zabawa raz do roku! zwyczajowe, nocne święto... „Ino, cy bedzie pogoda?“

„Bory sieką!...“ — dobiegła wieść do mnie i zbudziła silną chęć zobaczenia borów, setek kóp wonnego siana, śwanych dziewcząt i wartkich tańców... Dzień jeden i drugi pogody, gwiazdy gęsto świecą, o deszczu ani slychu!... Na trzeci dzień chęć zamieniła się w czyn, poszedłem...

Kawałek już było z południa, kiedy przekroczyłem wysoki próg w chacie podwójciego, którego dom tuż tuż koło borów. Wszedłem do piekarni.

Podwójci, dobry mój znajomy, zerwał się z ławki, gdzie „strugał“ konewkę, i wyciągnął ręce na powitanie. Uścisnęliśmy się serdecznie.

— Przejdźmy do izdebki!... — zaproponował — bo tu ani usiąść ka nima, ani nic... — Przeszliśmy. W izdebce widno, jasno, ściany jak malowane, słowem, jak u „porządnego“ gazdy.

— Cóż tu u was slychać? — pytam.

— E, staro bieda pcho sie ta tak pomalućku, jak może...

— No, chwała Bogu, że przynajmniej stara bieda, nie nowa..

— I zatoć Bogu dziękować. A u was ta co nowego?

— U mnie?... nic nowego.

— No przecie?...

— Prawdę mówiąc, stara bieda. A jutro, Bóg wie, co przyniesie...

— Oj, to jutro, to jutro!... — pokiwał głową podwójci. — E, może się mleka napijecie? — zwrócił się do mnie.

— Z największą ochotą.

— Tereska! — zawołał przez sień. „W te razy“ weszła jego żona.

— Tereski nima, posła do siana na bory! — mówiła prędko i głośno.

— O ratunecku! — zawołała, zobaczywszy mnie — przecie nas pon choć raz odwiedził!... Tele easy być tak niedaleko i nie przyjąć!... Spodziewali my się pana w tamtą niedzielę, umyślnie kupiłach chleba, cekaliśmy, a tu nic... Myślimy, czy się pon zgniewał na nas, czy co?...

— No nie godoj, ino dej mleka! — przerwał jej mąż.

— E, jakież panic woli: maślonkę, czy słodkie? — spytała szybko.

— Maślankę, maślankę!

Zamieszala w maślnicze, nalala do białego garnuszka. Wychyliłem jeden za drugim.

— Smakuje panicowi? — pytała wesoło.

— Smakuje, smakuje, tylko o jedno was proszę.

— No?...

— Rzućcie „pan“ i „panic“ na bok, a mówcie mi, jak dawniej, po prostu. Przecież-em wasz. Chyba, że się mnie już całkiem wyprzeć chcecie...

— Bójcie się Boga, ktoby tyz o tem myśloł!... Ale to tak nie idzie...

— Idzie, idzie, moi kochani!...

Wziąłem ją za rękę. Uśmiechnęła się przez łzy. Okropnie dobra kobiecina, zwłaszcza ma jeden wielki przymiot: lubi prędko i dużo gadać!...

Gwarzyliśmy też długi czas, dość długi, bo już Tereska przyszła od siana i obleciała po chleb do karczmy. Więc z chęcią, czy bez chęci, musiałem jeść, bo mnie raczyli... „A jak cie troje rocy, to sie som jeden nie oprzesł!...“

— A żeby nie bory, tobyście pewnie do nas nie zajrzeli? — zagadnęła filuternie gospodyni.

— Prawdę rzekłszy, tom głównie dla borów przyszedł. No, a potem i znajomych odwiedzić.

— O znajomych to mniejszo, — podjął podwójci — ale co sie w nocy ubawicie, to nie pożalować!

— Będą tańce! — zawołała wesoło Tereska.

— Tobie ino tańce w głowie! — karciała ją matka.

— A niech tańczy! niech się dziewczę zabawi! — bronilem jej.

— O, dyć one syćkie takie — mówiła matka. — Ino sie parobek przejdzie koło izby, to ta myk w pole!... i juz tyr-tyr poza węgly... Wnetki-by na drogę za nim leciała.

Dziewczę się zarumieniło i kryjąc zapaską oczy, wybiegło z izby.

— Ty na dziewczkę wygadujes, a samaś tak robiła! — rozśmiał się podwójci.

— Ja? ja za tobom lotała?!...

— Ho! ho! jesse jak!... Pamiętos, kiedyś siano grabiła sama... ja ci przysedł pomóc...

— No, no, dej spokój! Tu nie spowiedź.

Rozśmiali się oboje. Ja tymczasem patrzyłem przez okno za czerwoną chusteczką Tereski, która jeno migiała się wśród wysokiego zboża. Biegła szybko ścieżyną nad potok... Wstałem i ja, dziękując dobrym ludziom za posiłek i ruszyłem w pole.

— Ale wróćcie na noc? — zaleciało z sieni.

— Wróćę! — odrzekłem i w kwadrans stałem już nad potokiem, za kamienistą drogą, która razem z roztoką spada z niedalekiej góry.

Siadłem na trawniku i wpatrzyłem się w drobne, skaczące fale i białe, wirujące piany...

*Wartko się woda po kamieniach toczy,
A piana wstaje, srebrzy się i ginie...*

*Za jedną falą gdy pogonią oczy —
Już druga, trzecia... dziesiąta nadpłynie.*

*Wartko i życie w utrapieniach bieży,
A czar uniesień lśni w zmysłów upiciu...
Lecz gdy ostatni włos zima ośnieży —
Już nam nie marzyć o powrotnem życiu!...*

Płyn, falo, płyn!...

*I fala, w wilgotne ramiona porwana,
Po toniach mknie — i topieliskach...
I dusza, gdy ją mgłą owinie Nirwana —
W bladawych migoce przeblysłkach...*

Co za Nirwana? jaka Nirwana? Widzę skaczące nurty, chwytam szum spadającej wody, cały widnokrąg w cudacznie mieszanym kolorycie, o różnych światłach, cieniach, półcieniach, linjach krzywych i prostych, łamiących się tęczowo, odbija się za jedną maleńką źrenicą i tworzy harmonijny obraz... A niebo?... przedrzeć niebo! Wzrok słaby — myśl puszcza... Tworzy fantastyczne formy: światy i światy bez końca... Gdzie Nirwana?!...

— O mnie sie pan pyta?

Obejrzałem się. Za mną stała Tereska. Trzymała skopiec w rękę i przechylała się lekko, podrygując jedną nogą. Wzrokiem prześlizgnąłem od włosów jasnych do bosych stóp... Kształtna ki-

bić, piersi żywo wznoszące się, jako ta piana na potoku, nóżki okrągłe, czyste... Pewno z wody wyszła.

— Nie, ty nie jesteś Nirwana... — rzekłem głośno.

— A co to za jedna? — pytała ciekawie.

— Taka panna z galarety.

— A ładna?...

— O i bardzo!... Ma dużo kawalerów.

— I pana między nimi?

— Mnie nie. Nie chcę im wchodzić w drogę...

— Dobrze pan robi. Nima to ka indziej panien?

— Tereniu! świetnie mówisz!... — rzekłem z zapalem. — Gdzieś była? coś robiła?

— Byłach na potoku, polewałach płótno.

— Kąpałaś się?

— Ino po kolana.

— Czy zimna woda?

— Nie zimna, ale sie pstrągów boje.

— Świetnie mówisz — powtórzyłem wstając. —

Tereś, będzie na noc pogoda?

— O bedzić, bedzie... obezгло sie od zachodu.

Tańczujemy, jaze gwiazdy będą spadać!...

— Pewnie bez zazdrość?

— A choćby, ale będą! Jasiiek od Grzędę obiecał grać. Jak on prześlicnie gro?... Słyszol pan kie?

— Nie.

— To pan usłysz. No, ale takie muzyki, to pan i w Krakowie nie widział!...

Powiedziała to z takim przekonaniem, żem się wcale nie odważył oponować.

Słonko już było nad górą, kiedy ruszyliśmy ku chałupie.

— Panu sie pewnie jeść chce? — zagadnęła Tereska.

— Po czem poznajesz?

— Bo pan taki zasmucony...

Uśmiechnąłem się.

— Prawda, żem zgadła?

Nie zaprzeczyłem, choć w tej chwili nie myślałem o maślance. Weszliśmy na „osiedle“. Wieczór się szybko robił. Słonko spadło za góry i już mrok wschodził coraz czarniejszy. Bydło pasterze przygnali z pastwisk. „Gaździna“ z córką doily krowy; ojciec „strugał“ konewki, gwarzyłem z nim, siedząc na końcu ławki.

— Ile takich konewek na dzień zrobicie? — spytałem.

— Dwie, a casem trzy.

— A po wiele sprzedajecie jedną?

— Po dwie sóstki.

— To tanio.

— Ho, moi kochani! Trza czasem i za piętnoście centów sprzedać, jak bieda dozynie, a na sól braknie...

— Wam, myślę, nie brakuje? Przecie grunt niemały...

— Coz z tego gruntu, kie do niego ciągle trza

dopłacać. Na przednowek kupuj, na obsianie kupuj, zawdy i zawdy... Cłek sie napracuje na tej świętej ziemi, a na życie nie zdole z nie wydłużyć... Przydzie cas, dzieciska podrosną, trza będzie o nich pomyśleć. Z dziopom zięciowi trza dać porę stówek, a tu skąd ich wziąć?... Po mojej śmierci — bo cłek nie będzie wiekował — synowie rozerwą grunt, podziela i będą jescce bardzi biedować... Ja ledwo wyzyję, a z czego oni?... Jak przydzie trzecie potomstwo, to juz cheba musi z głodu zdychać... Wiecie co? Kie se pomyślę o tem i tak spożrę na tę przyszość, to mi sie w oczach ciemni. Ni mogę se rady dać!... Co to będzie? co to będzie?...

Zwiesił ręce, oczy rozwarł szerzej i patrzył nieruchomie przed siebie... Gdzieś głęboko, za źrenicami, przeczuć można było lzy, zrodzone z turbacji, nie tyle o siebie, ile o los swych dzieci. Lzy te padały mu na serce, trwały i tak już bólami zatrute życie.

Siedział tak chwilę, a ja nie przerywałem milczenia. Wreszcie podniósł głowę.

— Ha, no, moc boska na syćko!... — zakończył z rezygnacją.

— I ludzka... — dodałem.

Machnął ręką z lekceważeniem i wziął się energicznie do strugania konewki, aż wióry do okna leciały.

Matka z Terenią wróciły do stajni i „wnetki“

ustroiły wieczerzę. Jedna miska ziemniaków, druga kwaśnego mleka. Szampańska kolacja! Jedliśmy drewnianymi łyżkami, gwarząc wesoło. Jeden tylko „wypadek“ przerwał lekki tok pogwary. Mały Jaś „zatknął się“ jadem, czyli, jak mi gaździna tłómaczyła, ziemniak wpadł tam, gdzie miało iść mleko, a mleko poszło tam, gdzie miał wpaść ziemniak...

Nie zrobiło to na mnie jakiegokolwiek wrażenia, bo raz — nerwy mam jak postronki, a potwóre jeszcze lepsze „kawaly“ widziałem „na wielkim świecie“. Ale otoczenie moje było w strachu, by się Jaś nie udławił. Szczęściem radykalne lekarstwo poskutkowało. Ojciec „zwalil“ chłopca pięścią w kark i natychmiast owe rewolucyjne pierwiastki wróciły. Jedliśmy dalej bez „wypadku“.

Po wieczerzy, późnym już wieczorem, ruszyliśmy wszyscy ku borom.

Noc była śliczna. W księżycu świetle błękitniały lasy, szarzały wyręby, a zdala występowały zdziwionemu oku olbrzymie, mroczne góry. Szczyt łączy się ze szczytem i dziwna potęga jakaś przybija myśl... Mdle światło łagodzi jaskrawość dniowych barw, magnetycznie pociąga duszę, upaja i zmienia twardą rzeczywistość w jakiś zaczarowany kraj... W naturze mglistość, senność rozkoszna... Zorza na zachodzie czerwieni

się, bieleje... i powoli rozplywa w jeden jasny, iskrami zasiany błękit...

Śniłem raz taką Naturę... Z dziennego światła w mroczny labirynt wszedłem i kurytarze mię wiodły, nie wiem dokąd... Cel u wnijsicia zgubiłem i błąkałem się po gmachu w mrokach prze-raźliwych... Czy ten kurytarz wie gdzie w nieskoń-czoność?... Zalałem się wieczności, wracać pragnąłem... Za mną zamykały się ściany... Na-gle oblało mnie mgliste światło...

*Ona w niem stała —
Cudowna, wspaniała!...
Przed Nią promienie zwiły się w tęczę,
Nad Nią wisiaty błękitów obręcz,
A Ona w świetle księżycy skąpana
Szła... cała czysta i niepokalana...*

Szata z błękitnej mgły w obłoczne się fałdy mieniła, a biała przepaska jak mleczna droga, wiła się koło bioder... I szła ku mnie światłem księżycowem taka rozkoszna, wspaniała... Ramieniem objęła moje ramię, włosy Jej, jak długie włosy brzoź, szeleściły mi koło szyi... Piersi Jej, jak miękkie, białe, aksamitne róże, upajały mnie... Magnetyczne światło pociągało... A kiedy błękitne mgły owinęły mnie, stałem się niewol-nikiem Pięknej i piłem urok i czar i oddychałem woniami białych, aksamitnych róż... Upiłem się czarem i sen mię światłu mglistemu odebrał. Śni-

łem księżycową noc... Świt mię zbudził... i urato-wał. Przekłety świt!...

— Panie, panie! przepiórka!! — wrzasnęła mi nad uchem Tereska.

— Gdzie?

— O, już uciekła!... Nie słyszał pan, jak sme-rzyła po zbożu?... Oj, taki pan niezgrabny. Z pod nóg panu wyleciała i nie chycić! No!...

Może i Tereska miała słusność, lając mnie. Lepsza przepiórka, niż wymarzona, senna postać...

Zbliżaliśmy się do borów. Szare cienie wycho-dziły z wysokich zbóż, zbliżały się, rosły — i uro-sły w sporą gromadę ludzi. Najwięcej było mło-dych parobczaków i dziewcząt. Paru starszych gazdów przyszło przypomnieć dawne lata i popa-trzeć na tańce, lub też dozierać młodych, by nie robili „bezeceństw“.

Chłopcy otoczyli mnie kołem i pogwarka lekka, wesola płynęła chyżo, jak roztoka leśna. Wresz-cie podzieliliśmy się na gromadki, a potem na dwójki. „We dwoje nojwesełi“, powiadają ludzie.

Podwójci siedział opodal na niskiej kopce sia-na. Podszedłem ku niemu.

— Wolicie do mnie, jak do dziewcząt? — spytał żartobliwie.

— Wolę.

— Dziwny z was cłek. Wolicie ze starym gwa-rzyć...

— Nauczę się czego przy was.

— Tela umiecie, co świat!...

— Ba, gdybym wiedział, co świat!... tobym umiał coś. A tak — nic.

— Książki macie w głowie...

— Ale w książkach niema świata.

Popatrzał na mnie. Niby zastanawiał się... Nic nie odpowiedział.

— Jaka piękna noc! — przerwałem milczenie.

— Piękna! Bedzie pogoda, chwala Bogu. Da jutro jęcmień zebrać... Zeby ino tak wytrzymało choć do niedziele!

— Cicho! Słyszycie? Jasiiek gra... — ozwało się parę głosów.

— Jasiiek idzie!... — powtórzyły cienkie głosy dziewcząt.

— Cicho!...

Wszyscy zamilkli naraz. Szepty tylko gdzieniegdzie zdradzały ogromną radość i zaciekawienie...

Wsluchałem się uważnie w ciszę... Zdała dolaływało ciche kwilenie skrzypiec, miękkie, łzawe, melodyjne... Żalodne, przeciągle tony, cichły, to potężniały, jak skarga pokutującej duszy... Młody artysta grał własny poemat, odczuty prostem sercem... Myśli zlewał na struny, wyciągał je smyczkiem i rosła pieśń serdeczna — taka prosta, taka łzawa i bolesna... Słyszałem w dźwiękach, jak skarżył się:

Czemu ja się nie urodził wilką na polanie!

Piłbym ci ja srebrną rosę na noc, na świtanie...

*Czemu ja się nie urodził brzozą na potoku!
Zeby mi się złote słonko przezieralo w oku...*

*Czemu ja się nie urodził jedlą w harnym lesie!
Zebyim stuchał bez dzień cały, jak się echo niesie...*

*Ino ja se, kieby smerek, w samotności żyję —
A nademną wiatier płacze, abo wicher wyje...*

Kończył tę pieśń bez słów wybuchem dzikich tonów, jakby chciał ze złości na los struny pozrywać... Już był niedaleko. Dojrzał zgromadzonych i na ich swojską nutę zagrał skoczną, ale rzewną piosenkę. Ożyli zasłuchani... Parę dziewcząt odśpiewało zwrotkę na tę samą nutę. Jasiiek grał i powtarzając melodję, zbliżał się powoli ku nam...

— Pięknie gra... — ozwałem się do sąsiada. — Jak te skrzypki mówią za niego, za całą duszę... jak się skarżą żałośnie! Słyszycie, jak te skrzypki grają?...

Podwójci podniósł powoli głowę i odrzekł prawie bezdźwięcznie:

— Skrzypki grają... edyc grają!... a mnie wiecnie b i e d a g r a...

I jeszcze niżej głowę zwiesił.

KRÓTKI SEN

Z okien domu nauczycielstwa I** światło biło, za przesłoną zamarzłych szyb zlewając się z łagodno srebrnymi promieniami księżyca...

Na werandzie, a raczej ganku, podpartym prosto rzeźbionymi filarami z drzewa, księżyc dwa cienie rzucił od słupów i szparą wciskał się do sieni przez podchylone, ciężkie drzwi... Ciekawy, zobaczyć chciał wesołą drużynę, której głośnie rozmowa i śmiechy na zewnątrz się wydobywały...

Drzwi zamrożone skrzypnęły; na ganku ukazał się młodzieniec wysmukły. Wesołość, która pozostała na smagłej twarzy jego, jak zorza w błękitach po słońca zachodzie, powoli rozplywała się w matowym blasku księżyca i niedługo zastąpił ją jakiś wyraz nieokreślony, w którym jednak można było czytać smutek, rozmarzenie i tęsknotę... Podparł ręką palącą skroń, jakby chłodzić chciał żarne myśli, i oczyma pił długo, powłóczyście czarowną błogość nocy zimowej.

A noc była cudna, jak baśń czarodziejska: noc

nie do zabaw hucznych, ale dumań i tęsknoty. Toż nie myślał wcale wracać do gości, których śmiechy, dziki kontrast z tą bezsłowną pieśnią księżyca, raziły go i wprawiały w rozdrażnienie, a to oczyma i gorączkową grą nerwów na zewnątrz się wydobywało. Księżyc bladymi promieniami łagodził to wrażenie. Muzyka głuszyła głośnie rozmowy gości, ale muzyka wesoła, skoczna — wcale nie akompaniament do smutnych myśli młodzieńca...

— Bodaj całe życie tak prześnić!... — myślał rozmarzony i źrenice rozszerzył, wpatrując się w cuda natury, jakby je wszystkie czuciem chciał do serca zebrać...

— Tamci się bawią... Tam ja nie czuję się sobą. Jedną taką noc księżyca wyżej cenię niż lata głupiego życia!...

*O czarodziejska nocy księżycowa!
Do marzeń duszę porywasz, jak w sieci —
I obłąkana myśl ku tobie leci,
Szczęściem się poi, a cierpienia chowa...*

I myślą kończył pieśń podziwu...

Przy wyrazie „cierpienia chowa“ nerwowo twarz mu zadrgała; oczy zwrócił mimowoli ku sali, w której brzmiał ochoczy mazur.

— Ona tam się bawi... — myślał. — Pewnie zwycięskie spojrzenia rozsyla... a ja? ja wariat!... — i gorzko się rozśmiał.

— I ja tam śmiałem się z nimi tak szczerze, iż przez myśl nikomu nie przeszło, że to śmiech udany, maska, co kryje posępną głębię duszy. Ona tak się jakoś dziwnie na mnie patrzyła, gdy przypadkiem spotkały się nasze oczy, a często się spotykały... Czyżby mnie zrozumiała?... Warja! Chciałbym ją gwałtem wciągnąć w smutków i tęsknot świątnicę... Czemu się nie ma bawić?... Dobry sobie jestem. Ona odjedzie ach! już jutro!... Czemu się gniewam na to przypomnienie?... Dlaczego ona ma się mną krępować!... Czy powiedziałem jej kiedy, że ją Kocham?... Ale ona powinna o tem wiedzieć!... Powinna! — Głupia myśl; chcieć, by ludzie dalej patrzeli, niż mogą... Ona odejdzie, w wielkomijskim zgielku zapomni, że żyje na świecie jakiś... warja!... w zabawach życie przepędzi i... szkoda jej!... Znow głupia myśl. Jaki ze mnie egoista! Chciałbym, żeby dla mnie przejęła to życie pełne gorczy, żeby siły młode tu, w tej kuźni głupstw straciła i nie zaznała zabaw, czarów, rozkosz!... Ja zostanę sam... z myślami o niej... Czy będę mógł przynajmniej pracować?... I to nie... Myślą o niej zabiję każdą energii myśl i wpadnę w błoto rozczarowań, apatji, tęsknoty, która mię pożre przedwcześnie... A gdyby została?... Niemożebność!... Chciałbym to słowo wykreślić ze słownika języków ludzkich... Życie moje!... Najpiękniejszą wiosnę — smutkiem w jesień zamienić!...

Takie myśli pogmatwane przesuwają się po głowie dwudziestoletniego młodzieńca, bez ładu, jak jego pragnienia;... a tam w sali bawią się wesoło, nikt nie zauważył tego, że jeden z wesołych młodych już od godziny zniknął... Chyba jedna osoba, która zaniepokojonem okiem ciągle ku drzwiom poziera. Wreszcie, niecierpliwa, wymknęła się z koła adoratorów i kołując po sali, zwinnie jak ptaszę, popłynęła ku drzwiom i niepostrzeżenie znikła za niemi...

Na ganku stał w poprzedniej pozycji młodzieniec i kto wie, czy myśli dalej rozsnuwał, czy też piersią i oczyma pił czary nienaturalnej.. natury. Drgnął i przecuciem wiedziony zwrócił szybko głowę ku otwartym drzwiom, gdzie stała młoda osobka.

— Przepraszam... myślałam... — wyszeptala nieśmiało i nie wiedziała, jak dokończyć.

— To ja przepraszam, panno Marjo... żem opuścił wasze mile towarzystwo...

— Mile? widać, że nie bardzo mile, kiedy się pan Władysław ulotnił..

— Taka cudna noc!... — przerwał w zachwycie Władysław.

— I dla tej nocy... — zacięła się panna Marja.

— Wyszędłem... — odpowiedział. — Zresztą pani i tak się bezemnie świetnie bawi... Tylu adoratorów!... — rozśmiał się nerwowo.

— Myśli pan?!... — zaprzeczyła.

Chwilę jakąś milczeli oboje.

— Pani jutro odjeżdża... — zaczął drżącym głosem Władysław.

— I może — i nie...

— Czy doprawdy?!...

— To zależeć będzie od okoliczności, czy zostaną...

— A te okoliczności?

— A te okoliczności... — powtórzyła Marja z namysłem. — To pan... — dodała ciszej, przerażona głośno wypowiedzianą myślą.

— Ja?!... — zawołał ucieszony, niedowierzający jeszcze Władysław i oczyma wpił się w jej czarne źrenice... Długo patrzeli w siebie, a księżyc promieniem raz na jedno, drugi raz na drugie spoglądał. Księżyc, dobry swat, promieniami ich łączył, i może pod jego wpływem zbliżyły się ich ręce i usta złączyły... Czarowna była noc, czarowniejsza jednak grupa dwojga szczęśliwych!... Z zewnątrz muzyka płynęła i nie było już kontrastu, ani dysharmonji pomiędzy wesołemi tony skrzypiec i miłosnym taktem dwojga serc...

— Maniu!... Władziu!... — szeptały wargi młodych. W tych dwu wyrazach streściła się powieść przeszłości i marzenia przyszłych dni...

W szczęściu czas płynie szybko, jak potok — w smutku, jak powolna rzeka się toczy... Im czas widać szybkim strumieniem przepłynął, bo i śmiechy ustały w sali, muzyka przebrzmiała,

a księżyc znudzony niecierpliwie promieniami muskał dwie głowy... To bladł, to się czerwienił... I oni ocknęli się ze snu... Kto wie, czy drugi taki prześnię?... Niedługo snów złotych — niedługo...

— Władziu, czas — przerwała Marja uroczą mowę bez słów.

— Niestety!... — wyszeptał Władysław.

— Powrócimy osobno. Bo ludzie ludźmi. Domyśły...

Jeszcze jeden, długi, namiętny pocałunek i Marja znikła za cieniem drzwi... Został Władysław — w tej samej pozie, co przedtem — tylko z innemi myślami... Tak samo były zagmatwane, ale wszystkie wesołe, pełne nadziei... Nadziejol! Kogoś ty nie zwiódła!!...

.

*

I ja miałem czarowną noc księżycą — i ja miałem sen krótki, który mi jednak na zawsze zostanie w pamięci...

Oto wyszedłem z chaty mej pod lasem i wziąłem z sobą towarzyszkę moją, by z niemi prześnić tę noc księżycową. A towarzyszkę ową zowią się Miłość i Prawda. Trzecią siostrzycę, której imię jest Fantazja, chciałem zostawić w chacie. Lecz ona gwałtem się uparła iść ze mną i nie miałem

siły wstrzymać jej... Z trzema ukochanemi siostrzycami szedłem po ziemi, a zdało mi się jednak, że płynę powietrzem, bo pod stopami mgły widziałem i białą pościel śnieżną... Aż oto stanęliśmy na górze Śnieżnej, blado oświetleni promieniami księżycą... Siostrzyca Miłość wpatrzyła się we mnie i na dnie duszy mej jakieś nieznanne przedtem zrodziło się uczucie. A ona zdjęła wzrok swój z mej duszy i poleciała nim na doliny... Za okiem jej szedłem niewolniczo — i widziałem na dolinie braci moich i siostry me, widziałem ich serca czyste i nieskażone żadną plamą... Chaty widziałem malownicze, łąny zielone i łąki, i sine lasy widziałem, tonące w blasku księżycą... Tęsknota niewytlómaczona ciągnęła mię do tych braci, pól i lasów — i zdało mi się, że tam chyba jest ów raj Chrystusowy... A oto zbliżyła się do mnie siostrzyca Fantazja i za mojem pobiegła spojrzaniem... I nagle obrazy owe poczęły mienić się barwami tęcz i obłocznych kolorów i występować z dziwionemu oku rozkoszne i wspaniałe, o jakich nigdy we snach nie zamarzyłem...

— Boska moja ziemio! — zawołałem z przejęciem — czemu ja ciebie nie widział nigdy taką cudną i rozkoszną!...

— Siostrzyce! jeźdźmy na doliny. Poco nam ku niebu latać! — i chciałem zstąpić pierwszy...

Gdy oto Prawda, która smutna stała na ubożu, przybliżyła się do mnie i kładąc na moją

duszę swe zalzawione wejrzenie, pociągnęła moje oko za swoim...

— Spojrz jeszcze raz ze mną na doliny!... — rzekła łagodnie.

Posłuszny siostrzyce, spojrzalem — i tchnienie zatrzymałem w bolesnym podziwie... Bo oto znikły mi obrazy cudne, jakie przedtem widziałem — a pozostała jakaś smętność czyszcowa... Łąki chwastami porosły; tam, gdzie siniały lasy — nągich pniaków gromada sterczy... Na roli kamienistej, twardej, widziałem człeka, który mozolnie rył motyką ziemię niewdzięczną; pot spływał mu kroplami z czoła, a on z dziką zawziętością kopał ziemię i nie ustawał, póki korzonka nie dostał z pod kamieni... Wtedy rzucał motykę, siadał i polykał chciwie owoc dobyte. Ludzi widziałem gromadę, klócących się zawzięcie o jedną skibę ziemi... Nędzarzy widziałem, którzy stali na podwórzu murowanego dworu; wiatr, jak pies, targał im resztę lachmanów i mrozem żarł czerwone ciało, a oni wzrok łakomy utkwili w okna wspaniałej sali. Widziałem nędzarzy gromadę, która wychodziła ze wsi na zachód, zapatrzona w słońce, złotem występujące z za oceanu... Wracając wejrzeniem, dostrzegłem na drodze człowieka mizernego, który całował ręce bliźniego swego. A ów bliźni miał oblicze Izraela...

Zadrzałem, widząc to wszystko — i pogasło mi światło w oczach, a cienie przeraźliwe za-

legły mi duszę i myśli... I przystąpiła do mnie siostrzyca Miłość, którą Fantazja ujęła za rękę — i chciała mię wieść na doliny. Lecz jam Prawdziekochance rękę podał i począłem z nią zstępować nadół, kalecząc stopy na ostrych kamieniach... Za nami postępowały siostrzyce: Miłość i Fantazja... A księżyc od wysokich szczytów cienie rzucił na doliny i blado nam drogę oświecał..

DODATEK

PRZĄDKI

OPOWIADANIE K. SMRECZYŃSKIEJ

Dawniej był u nas zwyczaj, że w długie zimowe wieczory schodziły się prządkki do niektórych domów, gdzie je radzi przyjmowali; takich domów było ino parę we wsi, bo niewszędzie mieli czem świecić. — Zrazu świecili smolnemi sękami, wykręconemi ze spróchniałych kłód. Później niejakiś człek przemyślny wziął się na sposób dużo lepszy; poszczypał gnat bukowy na cienkie deszczulki, zaprawił do warsztaciku, i hyblem strugał wąskie, długie trzaski, zwane — niewiedzieć dla czego — ślajzami. Zaświeconą taką ślajzę zaprawiali w świecznik, zrobiony bardzo poprostu z patyka; jak je wysuszyli dobrze, to się świeciły dość jasno i nie dymiły tyle, co te sęki; ale zawdy musiał ktoś mieć czas i siedzieć przy nich, poprawiać, ucierać węgle, zakładać, zaświecać; była to robota dziadków, albo starszych dzieci.

U starego Porębskiego najpierw zaczęli świecić ślajzami. Tam się też prządkki najchętniej schodziły, bo miał chałupę dużą i lawek niemało. Ale niekiedy naszło się ich tyle, że brakło law i skrzyń,

musieli siedzieć za piecem, na piecu, i po wyrkach się stermać, jak padło. Bo nie ino same prządki, — przychodzili i parobcy z ciekawości lub na figle, przychodzili też starzy, co sypiać nie mogli, żeby im czas prędzej zeszedł, albo żeby się pochwalić opowieściami swojemi.

Przychodził tam przy czasie i stary kościelny; umiał nabożnych pieśni moc na pamięć, a choć śpiewać nie dał rady, to przepowiadał słowami, a prządki za nim zgodnie, jak na odpuscie, śpiewały.

Nie brakło nigdy i Kaspra od Grzędy, bo ten śpasownik, jak go nazywali, zawdziutki musiał przyjść i z czemsi nowem, co se przez dzień po cichu na wieczór ułożył. Czasem od ślajz i dymu zrobiło się w izbie duszno, to prządki wtedy wybiegały na pole, aby się chwilkę ochłodzić; a on tymczasem kądziele pochował, jednemu z chłopczysków poradził lec u samego progu, światło przygasił i wypadł za niemi, aby je raptem postraszyć. Prządki, spłoszone, hurmem leciały do izby, potykały się o grzbiet leżącego i przepadały, jak snopki przeciskane przez wóz, na środek izby. Było obrazy dość, ale i śmiechu. Tak zawdy Kasper umiał cosi złowić.

Tym razem smutniej było w izbie Porębskiego, bo zawczora umarła biedna komornica i leżała w trumnie w sieni. Mało kto co i mówił zrazu; a prządki przędły.

— Wszyscy-ście już? — odezwał się stary gazda z za pieca.

— A cóż wam ta, dziadku, za tym piecem brakuje? — odpowiedziały prządki, i przędły.

— Co by mi brakowało. Ale kie przyszedł kumoter kościelny, to go trza uprosić, żeby przepowiadał, a wy młodzi przyspiewujcie, nie zwieszajcie głów. Lepiej jakbądź Boga chwalić, niż o różnościach świata myśleć. W sieni leży niebożyczka, trzaby i za jej duszę co zaofiarować...

Starzy gazdowie przytaknęli:

— Oj, tak, tak, bo i nam niezadługo tego będzie trzeba.

Jeden z kąta się odezwał.

— Oho, bo ona ta już usłyszy!

— Będiesz tam cicho, niedowiarku! Trup nie usłyszy, ba dusza. No, zaczynajcie kumie, a ty wszystka zgracho, śpiewaj, ale razem, zgodnie!...

Stary kościelny przeżegnał się, a za nim wszyscy, i zaczął zwolna przepowiadać:

*Wszyscy ludzie posłuchajcie
I na koniec poziór dajcie, —
Bo dzień sądu, dzień straszliwy
Nadejdzie bardzo smutliwy.*

I zaśpiewali parę pieśni: to o sędzie ostatecznym, to o duszach w czyścicu; kościelny przepowiadał, a ci wiedli nutę, jak które mogło i zdołało. Aż się wreszcie kościelnemu zaczęło drzemać.

— Idźcie już spać, chrzestny ojczcie, — doradzali młodzi. — Dyc już dość tego będzie na chwałę Boską, — czy nie?

Stary od pieca, słysząc to, zabiadał:

— Ej, ta młodzież dzisiejsza, ta młodzież! Już sie jej cnie, widzicie... A tu choćby człek całe życie chwalił Pana Boga, to i tak nie przewieldzy. O, bo nie! Przyjdzie ona starość ku wam, przybliży sie i koniec. A na ten koniec ostatni nikt sie nie obziera...

Kościelny dorad usłuchnął, bo nie mógł nijak snu przemóc; pożegnał się ze wszystkimi i po mału poszedł.

Teraz chłopcy i dziewczęta zaczęli suszyć głowy starym, żeby im opowiadali ciekawe powieści.

— Wy, dziadku od Wyźnego, opowiedzcie co o strachach! — prosili chłopcy.

— O nie, dziadku, nie o strachach, bo by my sie bały iść do chałup, raczej powiedzcie co o czarownikach.

Dziadek się nie dał długo prosić. Wysunął się bliżej światła i zaczął:

— No, słuchajcie i uwazujcie pilnie, bo co wam opowiem, to prawda. Jakech jeszcze parobkował, to na naszym osiedlu był gazda, przezwiskiem Rokita, ale wyście młodzi nie zaznali, bo to wszystko już dawno pomarło. To, moiściewy, na tego Rokitę gadali, a bardziej na jego babę, że oni narabiali z czarami. To też ja nieraz zaszedł z cieka-

wości i zastalech ją czasem, jak w maślniczce robiła i masło wybierała, to aże-ch sie za głowę łapał, bom takiej kupy masła nie widział, jak żyje, ani na plebanji, ani na jarmarku.

— O rety, rety! E, cóż oni do tego wiedzieli? — pytały prządki.

— Ba, co wiedzieli... — odkrzypnął stary i prawił: — Przeszć w ogródku mieli, ten, co to zabiera z za dziesięciu miedz mleko i masło.

Młodzi sie zadziwowali i zaczęli pytać:

— A widzieliście też, dziadku, jakie to było?

— Abo to tak łatwo było ujrzeć! Płot był wysoki... Zagładali my nieraz ukradkiem, to my widzieli liście czarne i szerokie, ale to nie — liście, bo to w korzeniach ma siłę, i to wam takie to nie-szczęście: jak go poruszać wtedy, kie nie trza, to buczy... tak wam wyraźnie buczy, jak wół, kiedy się zabiera bósć i darnie nogami wyrzuca.

— O świecie, a kiedyż to taki czas, co go można dostać?

— Hę, kiedy... E, w wiliję świętego Wojciecha koło północy. Wtedy to on nie buczy, da sie dostać. Zawdy go Rokitowa podlewała popluczka z skopca...

— Takie, to babom opowiadać! — przerwał Kasper.

— No, czekaj, to ja tu i co innego opowiem. Pasternak sprzedał na jarmarku woły i, jak to zwykle litkup piją, napił się po swojemu, ledwie

sie przychwiał do chałupy. Pieniądze wraził na półce do garnka i prasnął ciałem na pościel. Przedniem dziewczka wstała i, po ciężkiem niewyspaniu nie przetarłszy oczów, porwała garnek z półki; nakładła w niego ziemniaków dla świni i przystawiła do ognia. Skoro się uwarzyły, wysypała je do cebrzyka, — coś zazbercało, ale myślała, że to skała, — utłukła i zaniesła do chlewa. Ku połudnowi Pasternak wstał, zbaczuje se powoli, kany za woły pieniądze: szuka w zanadru — niema, w skrzyni i półskrzynku — niema, nareszcie przetrząsnął wszystko w izbie — nie, i do ostatka niema.

— A miał, wiecie, starego ojca... „Teraz już wiem — powiada. — Nic inszego, inoś ty, stary, wziął pieniądze. Oddej zaraz, bo jak nie, to...“ I brał sie do kija. I tak, moi kochani, straszny kłopot robił z ojcem. „Zabiję cie i zabije, — powiada — jak nie oddasz“. Ociec płakał, ręce przed synem składał, że nie widział, ale to nie pomagało.

Aż nareszcie przybaczył se Pasternak, że najlepiej będzie iść do wróża; ten mu już napewno powie, kto pieniądze wziął. „Poczkać“ — powiada ojcu na odchodnem. — „Jak mi wróż powie, że tyś wziął, to tu krótka sprawa będzie“. I poszedł na Zalesie do tego, co go to, wiecie, Czarnym przezywali. Ociec sie znowu bał strasznie i poszedł za nim przysłuchać sie, co mu tam ten czarownik powie. Pasternak zaleciał wartko, wpada

do skopciałej izby i co tchu sie spytuje, czy jest prorok. „No jest, cóż ci trza?“ — odezwał się grubo głos z za pieca, i wylazł stamtąd chłop zarosnięty, jak niedźwiedź, a taki, wiecie, był strasznie obdziorny, że ten o mało nie uciekł ze strachu. Ale wróż zaraz wstrzymał go słowami: „No gadaj, po coś przyszedł? O co ci to chodzi? Myślisz, że nie wiem, choć sie pytam? Przyszedłeś dowiedzieć się o swoją zgubę. A miałeś wziąć to i to — powiada — a nie wzięłeś“. Pasternaka dreszcz przebiegł od stóp do samej głowy, bo akuratnie miał wziąć to i owo, ale z pilności nie wziął. Pomyślał se: „Już to prawdziwy wróż, a nie kto inszy, skoro tak umie zgadnąć myśli“. I ze strachem zaczął prosić: „Choć-ech nie przyniósł wszystkiego, com miał przynieść, to wam święcie wynagrodzę, ino chciejcie mi powiedzieć, kto mi wziął pieniądze“. — „No, dowiesz sie — powiada — ino zaczkać chwilę“.

Poszedł zaraz do komory... Ale to musicie wiedzieć, — zboczył stary — że on tam w tej komorze miał djabła małego i radził sie go w każdej okazji, jak kto do niego przyszedł. Tak i tym razem poszedł sie dowiedzieć, kto wziął za woły pieniądze. Na ten czas przywłókl sie i ociec Pasternaka. Ale sie bał wleźć do izby, ino se stanął pod oknem komory i na szczęście wysłyszał, co djabeł powiedział wróżowi. Bo ten, jak wszedł do komory, to zawołał: „Biesu! Powiedz ino, ale

prawdę, kto wziął te pieniądze?“ — „Pieniądze świnia zjadła. Po pijanemu wrzucił je do garnka, a dziewczka, nie wiedząc, świni w tym garnku wstawiła ziemniaki. Ale powiedz tak, że ociec te pieniądze wziął — niech się ta i mnie z tego coś dostanie“...

— O ratunecku! — zawołali wszyscy. — To tak chciał, coby syn ojca uśmiercił?

— No juści tak chciał, żeby się mu dusza dostała, przecie jasne. Ale słuchajcie dalej. Ociec, jakże powiedział, wysłyszał wszystko i nie czekał, aż syn wyjdzie od wróża, ino czempredzej poleciał do wójta, opowiedział mu wszystko skrajaj, jak to było, i prosił go, aby wziął urzędników i szedł z nim, bo inaczej to go syn zabije. Wójt się nie dał długo prosić, wziął urzędników, i poszli. Przed chałupą zeszli się z Pasternakiem. Ten już zdaleka grozi pięścią ojcu: „Zapierałeś się, żeś nie widział, a wróż wyraźnie powiedział, żeś ty wziął. Oddejj zaraz, bo jak nie, to ja się tu ani wójta bał nie będę“... Ale stary był śmiały przy wójcie; odrzekł synowi: „Pieniądze świnia zjadła. Ja wiem. Odżałuj ty przódy świni, a jak się nie znajdą, to już wtedy rób co chcesz“. — „No, ja tu i świni odżałuję, ale jak nie będzie, to odbeczysz i za pieniądze i za świnie razem“. Porwał kijanie, świnie zabił, i pieniądze się znalazły.

Tak to, moiściewy, drodzy, nie trzeba i wróżom

wierzyć. Bo oni choć wiedzą dobrze, to nie powiedzą prawdy. A temu ino, że im djabeł nie da.

— A cóż się stanie z takim, co z djabełem narabia? — pytali młodzi.

— Ba, co się stanie... — odrzekł stary Gawęda z za między. — A nie słyszeliście to o Gołębiu, co całe życie z djabełem kupczył? A potem jak umarł, to taki straszny wiaterek był, że dach zerwało na jego chałupie, drzwi i okna, jak piórka, wydmuchnęło wszystkie, a potem powietrzem niesło, las gięło ku ziemi, drzewa zgięły, jak trawę, jak cieniutkie źdźbła...

— O, nie gadajcie, chrzestny ojczu, bo aż ciępki przechodzą po nas...

— Dopiero by to po was ciępki przechodziły, jakbyście wy słyszeli, jak to dusza krzyczy, kie ją djabeł powietrzem niesą...

A młodzi między sobą:

— Żeby to kto był taki śmiały, a wyszedł wtedy i przeżegnał powietrze, toby ją musieli puścić.

— Toby się rozbiła, jakby na dół spadła.

— Cóż znowu! Przecie to dusza, nie jajo...

— Gadajcież więcej wy, chrzestny ojczu Z za między, boście wy dużo po świecie chodzili.

— Edyć tak, moje dzieci, nałaził się ta człek dość, i przy wojsku się służyło, przeganiłi człowieka od kraju do kraju, ani se nie spamięta tych miejsc i okolic; to też ta człek niejedno i widział

i słyszał. Dowiedzieliście się trochę o czarach i wróżach, to ja wam teraz powiem o strzygoniach.

— Rety!

— Jakech jeszcze był parobkiem, to nam ta-
tuś opowiadali, a im znowu opowiadał stary gró-
barz, Rapta: Jak umarł Grzesiak z Wyrobisk, to
więcej jak pół roku chodził po śmierci: niejeden
go widział, bo nim telo zeszło czasu, i nim on telo
schodził dróg, to się przecie nie z jednym musiał
spotkać. A najwięcej o nim opowiadała jego baba.
To też strach był w całej wsi, nikt nie śmiał wie-
czorem iść, bo się bali, bo to nie co inszego
z umarłym się spotkać, — a on w każdziuteńką
noc chodził. Zrazu to się go i baba jego bała,
pono ta i u księdza była, żeby co zaradził. Ksiądz
nabożeństwo odprawił, kazał się modlić, dał
i święconej wody, ale to nic nie pomagało. A po-
tem to już i przywykła; bo, moiściewy, on ta nie
próżnował, jak zaszedł; snopków omlócił parę,
drew urąbał, a jak trza było, to i do lasa obje-
chał po nocy.

— Oj rety, rety! Dyc to trudno miała być
prawda! — podniosły się głosy pośród młodych.

— Jakby nie była prawda, toby starzy ludzie
nie gadali. Nie cudujcie się daremno, raczej słu-
chajcie dalej.

— I tak, jak powiedziałech, długi czas do niej
chodził. Trafiło się dnia jednego, że ją odwiedziła
kumoszka. „Bójcie się Boga — powiada — i wy

nic na to nie radzicie, że ten nieboszczyk tak
chodzi? Pokiela chodzi, to chodzi, a wreszcie wam
leć urwie i tak się skończy“. — „Co będę ra-
dzić? — odrzekła ta. — Jak wiecie co, to doradz-
cie“. — „A dyc ja po to do was przyszła, coby
wam doradzić. E, idźcież do gróbarza, zaważcie
mú choć kureę, a on mu ta już da radę“.

Ona też usłuchnęła odrazu i poszła i opowie-
działa mu, jak jest. „Zmiłujcie się — powiada na
końcu — abo go zagrzebiecie tak, coby już nie wy-
lazł, abo co“... Rapta popatrzał na nią: „A co wy
se myślicie, że się strzygoń da zagrześć? Choćbych
go i najgłębiej zagrzebił, to wylezie. Bo wy nie
wiecie, ale ja wiem... Taki strzygoń ma dwa du-
chy: jeden, jak u zwyczajnego człeka, a drugi tak
po nocach błąka się i błąka; jak się spotka z ta-
kim drugim, to się strasznie będą bić, na zabój,
choćby ten drugi był w żyjącym człeku“. Kobieta
aż trzęsła się od strachu, a on jej dalej: „No,
nie bójcie się. Co mi dacie? — to poradzę“. —
„Moiściewy, co już chcecie, to wam z chęcią dam,
ażeby ino raz pomogło“. — „No, idź, babo, do
chałupy, on ta już w tę noc ostatni raz przyjdzie“...

— Oho! to on jej ta już leć urwie! — krzyknęły
prządki.

— Cicho-że bądźcie! Słuchajcie do końca.

— Wieczór stary gróbarz Rapta poszedł na
cmentarz, siadł se koło kostnicy i czekał; czekał

godzinę jedną, dwie, może i więcej. Aż nareszcie się i doczkał. Strzygoń zwyczajnie wylazł z grobu, otrząsnął się, opadła z niego śmiertelna koszula, i taki nagi poleciał. Gróbarz podszedł, wziął koszulę, wylazł na dzwonnice, siadł se przy dzwonnach i patrzył okienkiem. Skoro zapiał pierwszy kogut, strzygoń przyleciał na cmentarz, patrzy — koszuli niema. Wtem spostrzegł na dzwonnicy gróbarza z koszulą — leci i woła: „Oddej mi koszulę!“ A gróbarz na to: „Póđz se po nią“. Ten wołał jeszcze zdołu, potem pięknie prosił, wreszcie, widząc, że nic nie wskóra, zabrał się po nią. Jak już był blisko dzwonnów, Rapta uderzył prawą ręką trzy razy w serce dzwonu — dzwon odjęknął trzy razy — i strzygoń spadł, i nie ostala z niego ino kupka smoły. —

Teraz się zrobił gwar w izbie. Jedni mówili, że to może nieprawda, a drudzy potwierdzali, że tak musiało być.

Prządki prosiły, żeby już o strachach więcej nie gadali. Wtedy Błażek się wyrwał:

— To ja opowiem o boginkach. Widziałech je na własne oczy, jak prały w potoku.

— Niel! Niel! — zakrzyczeli chłopcy, radzi, że się prządki boją. — Niech jeszcze chrestny ociec powiedzą o strzygoniach.

— Kanyż się Kasper podział? — zauważyła któraś, w tej myśli, że przerwie opowiadanie.

— Edyć go nima, doprawdy.

— Znowu cosi nowego wystroi...

Ucichły, bo Gawęda rozpoczął już prawić.

— Kiedy tak, to wam opowiem, co sie mnie samemu przytrafiło. Przedtem, nim mnie do woj-ska wzięli, służyłech na Zalesiu. I tak, jak to wiecie, parobiska... Przyszła niedziela, to my sie zeszli do karczmy, a zabawiwszy sie, wracali późno i nieraz mocno napijani. A tam też chadzał se strzygoń po nocy; jak szło dwóch razem, to nimiał śmiałości, ale jak jeden, a spotkał sie z nim, to już mało żywego puścił. My też, rada w uradę, poszliśmy do gróbarza, zanieśliśmy mu kwartę wódki i prosimy go: jeżeli miarkuje, który to tak chodzi, żeby odkopał i przewrócił go w trumnie, bo my tak skądśi słyszeli, że to pomoże. Gróbarz obiecał, że tak zrobi. Ale i to nic nie pomogło. Bo zaraz w niedzielę jeden z towarzyszków naszych, wracając późno, spotkał sie z nim — i ten go zdusił, zdusił i wepechnął do potoka. Szczęście, że mój gazda poszedł wczas rano do kowala; — idzie — a tu charczy coś w potoku; wyciągnął go i zawłókl ledwie dychającego do chałupy.

Wtedy ja se pomyślał: „Poczka-j-że ty, kiedy tak“... Poleciał ja, wziął jeszcze kwartę wódki i dalej do gróbarza! Powiadam mu: „Abo mu głowę utnijcie, abo co, bo to nic nie pomogło“. Gróbarz se napił raz i drugi i powiada: „To dobrze, to ja mu utnę głowę“. — „No moiściewy, ino pewnie!“ — „No, nie bój sie już, nie“. Na

drugi dzień wypadły imieniny mojego gazdy; i wygnali mnie po wódkę ku samemu wieczorowi. A do karczmy było dalekawo, nim-ech zaszedł, to sie już wieczór zrobił. Żyd mi nalal wódki do flaszek i mnie poczęstował. Ja se jeszcze kazał sam kwaterkę, coby mi sie raźniej szło. Wreszcie śpiewam se i idę; uszedłech już pół drogi, a tu coś gwizda. Obejrzę sie — a tam idzie cosi za mną. „No, pójdz-że prędzej, to pójdziemy razem!“ I przystanąłech. Skoro przyszedł bliżej — patrzę — a ten niesie łeb pod pazuchą. „Tyś mi to kazał łeb uciąć?“ — powiada...

— O ratunecku! I cóż-eście wtedy zrobili?

— O moiściewy! Jak-ech też zebrał nogi, to nie wiem, kiedych sie znalazł przed chałupą! i teloch jeszcze zdołał: kijem prasnąć w okno, że gazda w izbie usłyszał. I to całe szczęście było, — bo mnie już przysiadł na ziemi... Gazda przecie z ludźmi wypadł, i obronili.

— No chwałaż Bogu! — odetchnęli ciężko słuchający.

Dziewczęta pociskały kądziele.

— Już nie gadajcie więcej. Nastraszyliście nas, jakże pójdziemy?

Kogut zapał na północ. Już się wszyscy zabierali.

— A kanyż Kasper?

— Ho! ho! ho! On ta nie poszedł spać...

Prządki, przeczuwając jakiś nowy figiel, stanęły

w kupce przy drzwiach, razem rzuciły gospodarzom: „Ostańcie z Bogiem!“ i razem wyszły do sieni.

Naraz podniosły straszny wrzask i wpadły poprzerażane, do izby.

— Ratujcie, wszyscy święci! Niebożyczka sie w trumnie rusza...

Wszyscy się w domu potrwożyli. Ale starsi gazdowie, nieco śmielsi, wzięli światło i wyszli wyjrzec do sieni, a za nimi w kupie młodzi. Patrzą — a niebożyczka, wyrzucona z trumny, leży na ziemi, a trumna zamknięta.

Porębski stary mocno się obruszył.

— Nie! taki figiel, to już żaden śpas...

— Trza ją napowrót włożyć.

Podjęli wieko — a tu w trumnie leży Kasper doznaku umarty.

POSŁOWIE

WŁADYSŁAW ORKAN JAKO EPIK WSI POLSKIEJ I.—Kiedy K. Tetmajer w życzliwej przedmowie zalecał młodocianego autora niniejszego tomu „Nowel“ (Warszawa, 1898), zalecenie swe popierał dwiema racjami. Najpierw tą, że autor ma talent, powtóre zaś, że rodem ze wsi, z Gorców, przyczyni się on do powstania osobnej, góralskiej, szkoły literackiej tatrzańskiej.

Czy dzisiaj, wznawiając po 35 latach po raz pierwszy ów tom młodzieńczy Orkana, moglibyśmy zatwierdzić tamte racje? Chyba nie. Talent? Zapewne, widoczny on i w tym zbiorze, i warto mu będzie poświęcić chwilę uwagi; niemniej jednak wyraz jego jest tu jeszcze bardzo prymitywny i surowy, onby sam jeden przedruku nie uzasadniał. Rozumiał to zresztą sam autor, który zbiorze tego ani w całości, ani częściowo nigdy nie powtórzył. O „szkole“ zaś poetów tatrzańskich jużć trzeba powiedzieć, że się faktycznie sformowała, że zajęła poczesne nawet miejsce w literaturze naszej, ale od „szkoły“ tej, której arcy-

dziełem szczytówem zostanie „Na skalnem Podhalu“, Orkan właściwie trzymał się raczej zosobna, nie wyszedł z Gorców swych ku Tatrom i do pewnego stopnia zawiódł przez to wyrażone tu nadzieje Tetmajera.

Jeżeli jednak dzisiaj słusznie należy przedrukować ten tom prymitywów nowelistycznych, jeżeli trzeba go potraktować jako fakt literacki i to fakt ważny, uzasadnia się to racją inną. Tomik ten jest rzeczywiście punktem wyjścia, — wprawdzie nie regionalnej szkoły literackiej, — ale zadania artystycznego, które jego twórca, sam jeden, coraz pełniej je sobie uświadamiając, z biegiem lat coraz bardziej programowo podejmował, i którego lwią część w swej późniejszej działalności literackiej rzeczywiście wykonał. „Nowele“ te są punktem wyjścia do epickiego obrazu wsi polskiej, roztrącanego przed oczyma naszymi przez Orkana, a pochwyconego przezeń w pewnym przelomowym momencie jej rozwoju.

Już z powodu niniejszego wydania zbiorowego Pism wyrażono wątpliwość, czy naprawdę można mówić słusznie o Orkanie jako o epiku wsi. Wątpliwości tej podzielić jednak niesposób. Kwestja rzeczywiście istotna. Ponieważ zaś wiele tego żywiołu epickiego wyraziło się (poza powieściami) właśnie w nowelach, ponieważ na nich najlepiej prześledzić będzie można ewolucję jego wyrazu literackiego u Orkana, omówienie przeto posta-

wionego zagadnienia wydaje się tutaj całkowicie na miejscu; ono dopiero podda czytelnikowi należyty kąt widzenia, pozwoli ocenić odrębne stanowisko tego pisarza w nowszym piśmiennictwie naszym.

Zanim jednakowoż zajmiemy się tą sprawą fundamentalną, zatrzymać się wypadnie przez chwilę przy samym tomie niniejszym.

Jak się rzekło, przynosi on pierwociny talentu Orkana. Niemniej zarysowuje się w nich wyrażenie (autor stara się, żeby tak właśnie było) zarówno indywidualność twórcy, jak i jego program artystyczny. Przedewszystkiem więc jakaż to, jak wyposażona indywidualność formującego się epika?

Co w młodym autorze „Nowel“ uderza odrazu, to zdecydowana przewaga obserwacji i pamięci świata nad wyobraźnią twórczą. Dla porównania wystarczyłoby wziąć Tetmajera „Na skalnem Podhalu“, dzieło więc, w którym te czynniki wystąpiły we wspaniałej równowadze. O takiej równowadze u Orkana tutaj jeszcze mówić niesposób. Tworzywo swe, postaci, ich tło, sam bodajże bieg akcji swych nowel czerpie on nie z wymysłu, nie z fantazji, ale wprost ze spostrzeżeń, z otaczającej go rzeczywistości. Dowodem dostatecznym może być fakt, że sporą część osób z tych „Nowel“ (pisarz z „Przeznaczenia“, podwójci i Jasiak z noweli „Skrzypki grają“... i in.), nawet motywów (wy-

jazd párobczaków do Pesztu, śpiewanie zakochanych ku sobie, zabawa „na borach“, pogrzeb wiejski i in.) znajdziemy w dziełach późniejszych, w warjacjach odmiennych, ale pozwalających doszukiwać się wspólnego realnego pierwowzoru. Bez wahania możnaby określić te opowiadania jako „obrazki z życia“.

Godne uwagi także i to, że spostrzegawczość Orkana zwrócona jest przeważnie nazewnątrz, na świat otaczający. Świata wewnętrznego, własnych swych przeżyć, wzruszeń, pierwiastku autobiograficznego, tak zwykle przeważającego u młodych powieściopisarzy, podał autor w „Nowelach“ jak najmniej; w większości opowiadań pierwiastek obiektywny przeważa znakomicie. A zasięg obserwacji autora wcale szeroki. Już w tym pierwszym zbiorze odsłania się przed nami duży szmal wsi, bogactwo osób, w charakterystyce dobrze zróżniczkowanych, i scen różnogatunkowych (od wójta, przez nauczyciela, organistę, aż do komornicy; od „namówin“ aż po pogrzeb); oczy pisarza otwarte są szeroko i potrafią wniknąć dobrze pod zewnętrzny pozór rzeczy. Przeniknąć aż do gruntu prawdy, pochwycić rzeczywistość w jej istocie.

Młody autor wcześniej wyrobił sobie pod tym względem wyraźny nawet program literacki: prawdę, nagą, surową prawdę obiera za przewodniczkę swej twórczości. Zapowiada nam to we wstępnej „Przygrywce“, następnie obrazową pa-

rabolą przedstawia w zamknięciu noweli „Krótki sen“; z wyznaniem wiary artystycznej autora spotykamy się więc w ten sposób na pierwszej i na ostatniej stronicy zbioru. W wypowiedziach tych programowych podziwuje wyraźnie hasło szlendarowe naturalizmu. Rzeczywiście o przynależności pierwszych dzieł Orkana do tego prądu możnaby mówić z pewnem uzasadnieniem.

I dla niego też ta „prawda życia“ ma zawsze kontury czarne, żałobne; i on ma wzrok nastawiony przedewszystkiem na strony ciemne, na krzywdę, na nędzę więcej niż na radość i urodę życia. „Lzy mię ciągną — wyznaje — więcej niżli blaski“. I on poczyna sobie tak, żeby dać przedewszystkiem dokument ludzki, ujęty najautentyczniej. Tem się tłumaczy, że autor, choć z umiarem, podaje przeciw sceny mające wartość folklorystyczną, opisy zwyczajów, resztek obrzędów i t. p.; stąd też język „Nowel“ nie przesycony jeszcze gwarą nawskrós i organicznie (jak to będzie później), ale tylko kraszony zwrotami gwarowemi. ujmowanemi w cudzysłowy. W przeciwieństwie jednakże do „szkoły“ nie chce Orkan odkrywać ni ilustrować w opowiadaniach swych żadnych praw biologicznych czy socjologicznych, nie chce wogóle niczego dowodzić. Pochwycenie rzeczywistości, rzeczywistości smutnej, w jej prawdzie — oto główne zadanie młodego artysty. Z pierwiastków pozaartystycznych wkracza natomiast silnie

w opowiadania Orkana współczucie dla „serc biedaczycych“, tudzież reformatorska pasja społecznika.

Zauważmy bowiem i to także. Obserwacja Orkana nie ma w sobie nic a nic z chłodnego zaciekawienia badacza, zainteresowanego osobliwością przedmiotu, nic z przychylniej nawet ciekawości etnologa. Jestto obserwacja — chciałoby się powiedzieć — iście synowska. W chłopie interesuje go nie odrębność rodzajowa, ani nie brutalna gra niehamowanych namiętności, ale — jak się rzekło — nadewszysłko jego niedola.

Jednakowoż i ona jeszcze nie wypełnia całej skali odczuwania twórcy. Najgłębszem wnikiem chce on dotrzeć do nurtu życia duchowego ludu, tego np., które się budzi i dochodzi do wyrazu w obliczu śmierci. Stąd to surowa wzniosłość wiejskiego obrzędu pogrzebowego nawijając mu się będzie parękroć wizją artystyczną; pierwsze opracowanie motywu mamy już w tym zbiorku. Odtworzoną scenę pogrzebu zamknął tu autor charakterystyczną, bardzo znamioną refleksją osobistą. W niej to może najwyraźniej doszedł bezpośrednio do głosu uczuciowy stosunek tego pisarza do jego świata, jak najściślejszy.

Charakterystyczny jest także w „Nowelach“ wymiar perspektywiczny odtworzonego obrazu nędzy wiejskiej. Oczywiście, przez swe właśnie współczujące serce pochyla się Orkan troskliwie

nad indywidualnemi wypadkami krzywdy i cierpienia; przedstawia dramaty wynikłe z konfliktów jednostkowych. Pociąga go człowiek, zwłaszcza człowiek nieszczęśliwy, biedota wiejska, ofiary złego losu, czy złych ludzi, a więc: komornica wypędzona z dzieckiem na mróz i wicher, sierota „na dochowku“ i t. p. Widzimy jednakowoż już na przykładzie tego najwcześniejszego zbioru, jak Orkan zmierza, by ową interesującą go przedewszystkiem niedolę wsi ująć u korzenia, sprowadzić do jakiegoś istotnego mianownika, do przyczyny głównej. I już tutaj, w nowelach: „Na zarobek“, „Skrzypki grają...“ napomyka on, jako o tej przyczynie głównej, o złym ustroju społecznym wsi, ustroju rolnym przedewszystkiem. Ziemi mało! — oto gdzie źródło nędzy. Dzielona wciąż i coraz drobniej, nie wyżywi wkońcu pracownika. „Jak przyjdzie trzecie potomstwo, to już cheba musi z głodu zdychać“. Oto troska najcięższa, która żłobi czoło rozważnym gospodarzom, „staremu gaździe“, czy to podwójciemu („Na zarobek“, „Skrzypki grają...“), która też podjęta przez samego autora wybija się niebawem jako motyw naczelny całego zbioru „Nad urwiskiem“. Odtąd myśl naprawy społecznej, przemiany ustroju wsi, będzie nadługo współczynna w konstrukcji opowiadań Orkana, szczytowy zaś wyraz swój osiągnie „W roztokach“.

Tak więc już tutaj, w tym pierwszym zawiązku

literackim Orkana dostrzegamy dwie główne współczynne dążności jego tworzenia, dwie siły naczelné jego jako artysty: pasję obserwatorską, nastawioną miłościwie na okólną zewnętrzną wiejską, zwłaszcza zaś na mroczny obszar niedoli, — oraz drugą: pasję wielkiej naprawy.

Możnaby sądzić, że wypadkowa takich dwu sił przyrodzonych niekoniecznie pójdzie po linii postulatów epiki, nie da dziełu literackiemu wymaganej bezinteresowności ujęcia i przedstawienia świata. Jakżeż się ma twórca zdobyć na moralną aprobatę i na potrzebny zachwyt naiwny wobec swego, tworzywa, skoro gniewa go i boli istniejące tam zło, krzywda, skoro sam płonie żądzą jego zmiany, przebudowy rzeczywistości, stojącej przed nim jako temat? Rzeczywiście możnaby przyjąć, że naogół takie dwie rozbieżne tendencje nie dadzą się zharmonizować w wygłos epiki. Naogół.

Ale właśnie arcyszczęśliwym układem rzeczy twórczość Orkana stanowi osobliwy od takiej reguły wyjątek. Układ rzeczy zaś zasadzał się na tem, że wieś polska z początkiem w. XIX przebyła proces głęboko sięgającej zmiany, wprost preistoczenia w strukturze obyczajowej i psychicznej, weszła w nową, gruntownie odmienioną fazę bytowania. Otóż właśnie dzięki wyposażeniu swej indywidualności artystycznej w tendencje tak rozbieżne, Orkan był wprost predesty-

nowany na epika tej właśnie wielkiej przemiany wsi polskiej.

Co to za przemiana i jakie są wymiary wyrażającego ją dzieła epickiego Orkana, o tem wypadnie rozwieść się szerzej pod koniec następnego tomu nowel, „Nad urwiskiem“.

P. S. Do zbioru nowel, zawartych w tomie z roku 1898, dodano w wydaniu niniejszem opowiadanie „Przódki“, spisane przez Orkana z ust matki (druk. w „Tygodniu“, dodatku literackim do „Kuryera Lwów“, 1902, nr. 9). Wiadomo z wyznań Orkana (a choćby z opowieści Sewera „Matka“), ile zawdzięczał on w młodej twórczości swej inspiracjom z tego źródła. Czytelnik dostrzeże, jak rzeczywiście nieodległe od siebie są: autentyczne źródło wątku, oraz jego proste jeszcze, nieśmiałe obrobienie artystyczne (n. p. w noweli „Pogrzeb“). Dlatego celowe się wydało takie wzbogacenie wartości tomu.

St. P.

